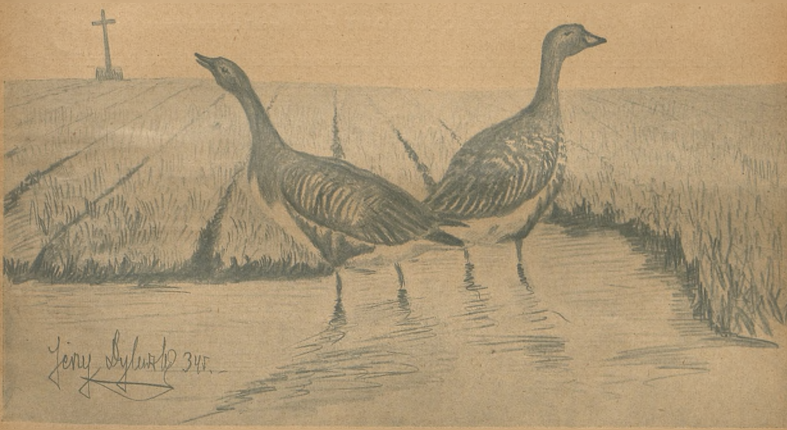
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 10 (750) 1 KWIETNIA 1934 R.

III-ci Pokaz Trofeów Łowieckich

organizowany z okazji

Zjazdu Międzynarodowej Rady Łowieckiej

zostanie otwarty w dniu 14 kwietnia 1934 r.

Komitet Organizacyjny dokłada wszelkich starań, aby licznym myśliwym zagranicznym przedstawić łowiectwo polskie w całem bogactwie.

Niniejszem uprasza się posiadaczy pięknych i cennych trofeów bądź nagrodzonych już gdziekolwiek, bądź też nigdzie nie wystawianych, o wzięcie udziału w Pokazie.

KOSZT PRZEWOZU EKSPONATÓW, W OBIE STRONY KOLEJĄ PONOSI KOMITET.

INFORMACJI UDZIELA:

Komitet Organizacyjny III-go Pokazu Trofeów Łowieckich

codziennie w godzinach biurowych w lokalu P. Z. S. Ł. Nowy-Świat 35, tel. 666-15 i 607-98



Na wieczornym podsluchu. Fot. W. Korsak.

Wszystkim Prenumeratorom i Czytelnikom
z okazji Świąt Wielkiejnocy
serdeczne życzenia — Wesołego Alleluja — przesyła
Redakcja.

WAŻNE ROZPORZĄDZENIE.

Na łamach „Łowca Polskiego" wspomnianem już było (Przegląd wydawnictw w Nr. 8 z b. r.) o niedawno ogłoszonem rozporządzeniu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, dotyczącem współpracy szkolnictwa w praktycznem stosowaniu zagadnienia ochrony przyrody.

Fakt ten jednak zasługuje na poświęcenie mu nieco więcej miejsca i uwagi, a nadewszystko winien spotkać się on z należytą oceną z punktu widzenia łowieckiego.

Przy sposobności trzeba stwierdzić, że rozwojowi naszego łowiectwa sprzyja coraz bardziej uwydatniające się zrozumienie całej jego powagi i ekonomicznego znaczenia przez sfery rządowe i że wskutek tego zdążamy po drodze właściwej do ugruntowania podstaw rozrostu tej dziedziny naturalnych bogactw kraju.

Jak wiadomo, jedną z największych trosk naczelnych władz łowiectwa polskiego jest stworzenie dlań takich warunków, któreby gwarantowały maksimum szans do osiągnięcia najwyższego poziomu kulturalnego i gospodarczego.

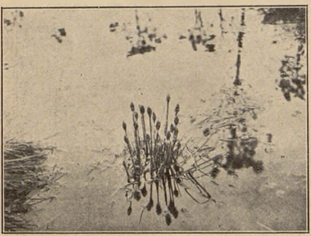
Ale samo prawo łowieckie, którego zastosowanie w życiu trwa od lat przeszło sześciu, ani najlepiej obmyślana i na doświadczeniu oparta, zamierzona nowelizacja tego prawa, nie są w stanie zapewnić zupełnego rozkwitu naszemu łowiectwu. Potrzebna jest prócz tego jeszcze właściwie ujęta i powszechna organizacja myśliwych, a nadewszystko zrozumienie znaczenia łowiectwa przez całe społeczeństwo.

Jednym ze sposobów zaszczepienia w niem właściwych poglądów na ochronę zwierzostanów, wobec coraz bardziej rozwijającej się wśród myśliwych tendencji do hodowli zwierzyny, jest dążenie przez

urobienie w tym kierunku najmłodszego pokolenia. Jasnem więc jest, że droga ku temu prowadzi przedewszystkiem przez szkoły.

O odpowiednie postawienie tego zagadnienia w naszem szkolnictwie naczelne władze łowiectwa zabiegały już dawno, poruszając temat ten w szeregu przedstawień u odpowiednich władz państwowych.

Ostatnio zdobycz tę osiągnęliśmy nareszcie, wprawdzie nie bezpośrednio i w postaci uogólnionej, dzięki zajęciu przychylnego stanowiska przez Ministerstwo W. R. i O. P. do wniosku Państwowej Rady Ochrony Przyrody.



Czarnogłówka zakwitła. Fot. W. Korsak.

Okólnik ministerjalny, który na ochronę objektów przyrody zwrócił uwagę kuratorjów, nakazuje włączenie tego zagadnienia do programu wychowawczego w szkołach. Tem samem kilkomiljonowa rzesza dzieci uświadamianą będzie o konieczności i potrzebie chronienia tworów przyrody, której pokaźną cząstkę stanowi również zwierzyna łowna.

Jak wielkiej doniosłości jest ten fakt, zdaje sobie sprawę każdy, kto miał sposobność stykania się ze stanem obecnym, graniczącym wśród większości wiejskiej ludności z niesłychanym nieraz wandalizmem i barbarzyństwem.

Myśliwi, zamieszkali stale na wsi, oddawna zdawali sobie z tego sprawę. Dziesiątki tysięcy niszczonych gniazd ptasich, setki tysięcy wybieranych jaj, wielkie ilości chwytanej bezmyślnie młodzieży zwierząt łownych — stają się dotychczas coroczną pastwą nietylko starszego pokolenia, ale i tych malców, którym nie miał kto nieraz powiedzieć, jak nazwać tę lekkomyślność i szkodnictwo.

Daleką jest droga do osiągnięcia całkowitej zmiany w ukształtowaniu się zasadniczych pojęć o tem w szerokiem społeczeństwie, lecz obok praw ochronnych, obok kar za ich przekroczenie, choćby z największą bezwzględnością stosowanych, najpozytywniejsze wyniki można osiągnąć jedynie zapomocą wychowania, przez wpajanie w młode pokolenie właściwych zasad i ich całkowitego zrozumienia.

Świat łowiecki winien powitać to z prawdziwą radością, że ochrona objektów przyrody włączoną została do programu wychowania dzieci w wieku szkół powszechnych.

Ale nietylko cieszyć się z tego winniśmy i oczekiwać pożądanych owoców, aż same dojrzeją. Czeka nas w związku z tem duża praca i wiele troski, ażeby organy, wykonujące okólnik ministerjalny, należycie przejęły się zleconem im zadaniem.

Musimy znaleźć drogi, aby programowi temu dopomódz. Musimy sami z jednej strony współdziałać z wykonawcami okólnika poprzez wszystkie, dostępne nam placówki społeczne i gospodarcze, rozsiane po całym kraju, a zarazem dopilnować, aby wydany okólnik nie pozostał papierowym dezyderatem, nie poszedł w praktyce pod sukno.

To jest przedewszystkiem zadaniem łowieckich delegatów powiatowych, którzy mogą mieć wpływ na tę głęboko interesującą nas sprawę za pośrednictwem władz starościńskich i inspektorów szkolnych. Niemniej stać się to musi troską wszystkich myśliwych, stykających się z elementem nauczycielskim na wsi.

Niech nie będzie odtąd w Polsce nietylko połamanych drzewek, któremi samorządy gminne lub miejskie obsadzają drogi, trakty i ulice; nietylko zwierząt, nad któremi znęcają się w jakikolwiek sposób starsi lub dzieci, ale niech zniknie z myśli społeczeństwa również możliwość chwytania dzikich zwierząt i ptactwa na sidła i lepy, samotrzaski i wnyki, niszczenia gniazd i wybierania jaj.

Przystąpmy do tej współpracy z całym zapasem energji, wytrwałości i wiary w dobry cel i szczęśliwe osiągnięcie zmiany warunków w łowiectwie.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

DUNGAJ.

Panu Michałowi K. Pawlikowskiemu, w dowód wdzięczności za szerzenie ideowego łowiectwa wśród młodzieży wileńskiej, ten skromny i niedorosły do swego przeznaczenia utwór poświęcam.

Na świecie było jasno i słonecznie.

W ciepłem, wiosennem powietrzu tańczyły, brzęcząc subtelnie, roje drobnych muszek. W okalających leśną polanę krzewach dźwięczały radosne piosnki przybyłych z za morza ptasząt. Okrywająca się seledynową, świeżutką zielenią puszcza mówiła całym chórem przeróżnych głosów... szeptała gędźbą ruczajów...

Wszędzie królowała promienna, rozśpiewana wiosna.

Gramolący się po podłodze leśnej chaty mały, płowy psiak nie wiedział o tem. Wytężając wszystkie swe siły, starał się przy pomocy pociesznie rozkiwanych nóżek posunąć ku leżącej pod ławą suce. Nic jeszcze nie pojmował, czuł tylko, że już dawno nie przepływał przez jego różowe gardziołko cienki strumyk białego, słodziutkiego płynu, który zawsze znajdywał, gdy zbliżył się tuż do boku matki. Przebierał więc zawzięcie drobnemi łapkami, szorował niemi po sosnowej podłodze, byle prędzej przebyć tę tak wielką, wynoszącą aż dwa kroki, odległość. Szło mu to jednak opornie: nóżki ślizgały się po deskach, a tłuste ciałko, zamiast unosić się ku górze, ciążyło jakoś do ziemi...

Właśnie w najtragiczniejszym momencie, gdy wyczerpane szczenię opadło na jasny brzuszek i ciężko dyszało — otwarły się szeroko niskie, ale przestronne drzwi chałupy. Z roświetlonej słonecznemi blaskami przestrzeni strzelił w szarawy półton wnętrza cały snop rzęsistych, jasno-złotych promieni. Zagrały na rozjaśnionej podłodze cienie młodych listków strażującej tuż u drzwi chaty rozłożystej lipy. Zdala, od

krańca polany zaszumiał rozkołysany wiosenną radością las...

Młody psiak zmrużył odruchowo małe, ciemno-złote ślepki. Ta nagła jasność oszołomiła go; skulił się w miejscu, przywarł do podłogi całem ciałkiem, stulił długie uszki i leżał cichutko. Warował, jak mu kazał instynkt, odziedziczony po rodzicach, pochodzących ze starej, szlachetnej rasy.

I chociaż słońce, rzucając na jego zamknięte powieki rzęsisty blask, otaczało oczęta półtonem jasno-różowej atmosfery, zbrzydł małemu szczenięciu ten stan wyczekiwania. Aż wreszcie zdobył się na odwagę i — otworzył oczy: najprzód nieufnie, wolno, potem, nabierając pewności, rozwarł śmiało powieki i błyszczącemi ciekawością ślepkami spojrzał na widoczny przez otwarte drzwi zielony świat...

W wielkiej ciszy szumiał tylko roztętniony wiosennym pulsem życia las. Powódź świetlistych promieni oblewała wszystko wokoło...

Pod wpływem ciepłej pieszczoty słonecznej odbiegły szczeniaka resztki lęku; odprężył minjaturowe mięśnie, poprawił się, rozłożył beztrosko, swobodnie. Było mu dobrze. Chociaż nic nie rozumiał, czuł jednak w głębi swej małej piersi radość bytu, bijącą zewsząd, z całego otoczenia. W sercu miał słońce.

Pod ścianą, w cieniu ławy, z ułożoną na wyciągniętych łapach głową, drzemała jego poczciwa matka. Obrzucił ją miłującem spojrzeniem — zaskomlił cicho, serdecznie, jak to czynią ludzkie dzieci. Suka rozwarła troskliwie wielkie, złocisto-kasztanowe oczy: zwróciła na jego głowę rozkochane, spokojne spojrzenie cieszącej się swym najdroższym skarbem matki.

W tej chwili z podwórza, od strony pobliskiej pasieki doleciał wesoły głos leśnika, wracającego z przedpołudniowego obchodu:

— Stasiek, jak się tam ma malutka psina?

— Rusza się jeszcze, tatulu...—zabrzmiała odpowiedź, wymówiona dźwięcznym, dziecięcym głosem.

— A cóżeś ty, smyku, chciał, żeby się nie ruszała? — roześmiał się ojciec i wszedł do izby.

Ujrzawszy leżące w smudze ciepłego światła szczenię — przystanął koło progu, powiesił na kołku starą, jak świat, strzelbinę, zdjął z ramienia torbę i roześmiane, siwe oczy topiąc w małej psinie, zbliżył się cicho ku niej. Wziął ją na ręce, gładził, pieścił....

— Ty drobinko krucha... maleństwo... Pan chce cię nazwać Dungajem, tak, jak wołano starego, dzielnego psa myśliwskiego... Skończył on bohatersko swe życie pod szablami rozwścieczonego dzika. Ty będziesz szczęśliwszy — będziesz żył długo... Bóg wie —może i mnie przeżyjesz. Nazywasz się więc od dziś Dungajem — pamiętaj!... — mówił pieszczotliwie, przysuwając usta do samej prawie muszli usznej miłego tłuściocha.

Z długiej przemowy człowieka psiak nic nie pojął. Wyczuł jednak instynktownie pieszczotę. Z niewypowiedzianej, nieznanej dotąd rozkoszy zadrżało jego ciałko, gdy leśnik łagodną dłonią pogładził go po aksamitnym grzbiecie. W głębi małego serca zrodziło się pojęcie, że nietylko matka go kocha. Zrozumiał, że między nią, złocistem słońcem i tym dobrym człowiekiem jest jakiś związek, że są to jak gdyby trzy spójnie, wiążące obręcz jego dzisiejszego szczęścia.

*

Od tych szczęśliwych chwil dziecięcych upłynęło kilka lat. Dungaj zmienił się do niepoznania; rozrósł się, spotężniał, barwa jego sierści z płowej stała się z wiekiem ciemna, aksamitna. Oczy nabrały intensywnego, piwnego koloru. Wraz z zewnętrzną odmianą przekształciła się też jego psia psychika.

Ongiś, w czasach szczenięctwa, wystarczały mu do szczęścia matka, promień słoneczny i uśmiech człowieka. Dzisiaj — było mu tego za mało. Całem swem jestestwem pokochał świat. Czuł się szczęśliwy, gdy mógł roztęsknionem spojrzeniem wodzić po szmaragdowych dąbrowach, po złocistych błoniach pól i po tych, hen... tam, wysoko zawieszonych, niebieskich lazurach...

Często przysiadał na skraju lasu, na łysem wzgórzu — i patrzał, patrzał na daleki, zamglony odległością horyzont... Miłował całą swą duszą te modre tafle cichych jezior, te szepczące wieczystą, prastarą pieśń leśne ruczaje. Kochał cały świat! Piosenka dźwięczącego w przestworzach skowronka poiła go niewymownem szczęściem. Wiatr grał mu do skocznego tańca. A gdy się rozkołysał na wiosnę cichy las — zdawało się Dungajowi, że mu z piersi serce ucieknie, by być wszędzie, by wszystkiem się cieszyć.

Pana swego kochał zawsze. Dla niego nieraz wystawiał swoje życie na szwank.



Odyniec, ubity przez F. hr. Zamoyskiego w nadl. Poloniczna. Fot. J. hr. Żółtowski.

Dziś, w ten gorący, lipcowy dzień, leżąc na ulubionem, łysem wzgórzu, przypominał sobie dokładnie wypadek ze złodziejem, kiedy to dał dowód bezgranicznego przywiązania do swego pana.

...Na świecie był wieczór pogodny, cichy. Las układał się już do snu. Kuły jeszcze tylko na zabarwionych purpurą zachodu sosnach dzięcioły. Leśnik wracał z Dungajem z popołudniowego obchodu. Usłyszał w ciszy odgłos siekiery... — podkradł się; chciał pojmać rabusia na gorącym uczynku. A kiedy już był blisko, nagle runął nań z podniesionym toporem przyczajony za drzewem złodziej leśny... Z charkotem wściekłym zatopił Dungaj kły w gardle złoczyńcy, zwalił go z nóg; zadusiłby go ze złości na śmierć, gdyby nie rozkaz pana...

Dziś przypomina to sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Przed jego ciemnym, sennym trochę wzrokiem przesuwają się wypadki lat ubiegłych. Odnawiana przez ludzi pamięć przywodzi mu na myśl wszystkie wypadki.

Jak na dłoni, widzi swój pierwszy łów.

...Ośnieżona knieja srebrzy się w blaskach bladego, zimowego słońca. Potworzone przez gęste za-

rośla cudnokształtne groty wabią ku sobie nieopisanym urokiem... Wokoło panuje śmiertelna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu głosem czubatej sójki... Spuszczony ze smyczy, uradowany Dungaj zaczyna hasać po najbliższych krzewach. Bobruje zawzięcie, czmycha, parska — zachowuje się, jak świeżo upieczony tryc. Jednak niebawem instynkt psa szlachetnej krwi zaczyna zwyciężać zdenerwowanie młokosa. Opanowuje się, rozważnie zatacza koła — wpada wreszcie na trop... Natychmiast daje znać o tem panu... Potem jeszcze raz upewnia się o świeżości śladu; tak, bezwątpienia: najwyraźniejszy szyfr szaraka! Puszcza w ruch szybkie nogi, zaczyna gonić co sił... Rwie, jak wiatr... Z obu stron migają tylko długie kolumnady leśnych drzew... Pozostają w tyle polany i pagórki... Pędzi teraz gęstym zagajnikiem choinowym...

Dostrzega zwierza... Wybucha głośnym jazgotem. Wytęża wszystkie siły — chce dopaść ofiarę. Zając jednak nie głupi, ceni życie: wyciąga się jak strzała; rytmicznie pracują pod nim gibkie skoki, instynktownie kieruje się ku znanemu oddawna przesmykowi.

Nie wie, że czeka go tam śmierć! Nie wie, że słońca blask już jutro go nie ucieszy, że nie zanuci mu swej kołysanej na skrzydłach wiatru pieśni las...

Mijają przesmyk: uciekinier i zajadły goniec. Pędzą co sił w sprężystych mięśniach, co tchu w zdyszanych płucach...

— Trrraaach... — huczy, jak grzmot, strzelba czekającego za pniem brzozy leśnika. Szarak odrywa się od ziemi, strzela kozła wgórę, przewraca się... Probuje wstać, lecz mocy już nie ma; dogorywa, trzepiąc po śniegu łapkami.

Dungaj dopada go, szarpie turzycę... Drży z niewymownej rozkoszy...

Pomyślnie zakończony łów napawa jego serce triumfem... Na owo wspomnienie jeszcze dziś przebiega po jego szerokim karku rozkoszne mrowie. Jeszcze dziś słyszy słowa pochwały od swego pana i czuje smak pochłanianych wówczas apetycznie pierwszych skoków zajęczych. Leży senny na wzgórzu i — duma. Jest mu błogo, zacisznie i ciepło. Świat go cieszy, słońce z góry pieści gorącem spojrzeniem, kołysankę do snu śpiewają w niedalekich haszczach ptaki.

Lubił potężny Dungaj jesienny czas. Wtedy mógł w całej okazałości wystawić na podziw siłę swych żelaznych mięśni, mógł płucom mocarnym dać folgę w zajadłej za zwierzem gonitwie.

Gdy więc na ziemię spadł pierwszy barwny liść, gdy roztańczyły się w cichem powietrzu cieniutkie nici babiego lata — rwał się do puszczy.

I wówczas, w słoneczny, blado-złoty ranek, przez ciche, senne ostępy, przewalając się echem po śródleśnych błoniach łąkowych, płynęła niepowstrzymaną strugą melodyjna pieśń rozgonionych za zwierzyną ogarów.

Ścigały zwierza: on i jego towarzyszka, Rybka, smukła. bura suka, o piersi szerokiej i lotnych nogach.

Z Rybką łączyły go od pewnego czasu bardzo dobre stosunki. Poznał ją, będąc kiedyś ze swym panem w sąsiedniej leśniczówce. Od pierwszego wejrzenia przypadła mu do gustu; zawarli coś w rodzaju przyjaźni i odtąd bardzo często się spotykali. Dungaj zauważył, że ona bynajmniej od niego nie stroni, a nawet jest doń usposobiona przychylnie. Od owego czasu powstało w ich psich sercach uczucie, które ludzie określiliby mianem miłości.

Teraz popłynęły im chwile słonecznej sielanki.

Razem wędrowali po puszczy.

Razem chodzili na spacery ku łysemu wzgórzu.

Razem lotnego w kniei ścigali zwierza...

Było im ze sobą dobrze.

W jesienne, srebrne dni widywali się prawie codzień. Panowie ich, korzystając z pięknej myśliwskiej pory, wyprawiali się na wspólne łowy.

Wówczas to popisywały się swemi zdolnościami psy. Wówczas, goniąc wytrwale bok przy boku, Dungaj, ogarniający troskliwem spojrzeniem zgrabną postać Rybki, dochodził coraz częściej do wniosku, że coś go za każdym razem silniej do niej przykuwa, że życie bez niej, to wieczna tęsknota.

Przez szparę w budzie powiał lodowaty wiatr.

Dungaj uczuł zimno. Zadrżał, przeciągnął wszystkie kości i wolno wylazł na zaśnieżoną przestrzeń. Spać tej nocy nie mógł; z wieczora trochę drzemał, ale i to nie długo. Przy akompanjamencie wichury na dworze snuły się po jego głowie najprzeróżniejsze, coraz to nowe myśli. Czuł we wnętrzu jakiś niepokój, jakiś niesamowity lęk, którego dotąd nigdy nie zaznał. Nie wiedział, co się z nim działo. Ten dziwny stan był dlań nowością.

Zdenerwowany opuścił legowisko. Przeszedł się parę razy tam i z powrotem. Zbliżył się wreszcie do zamkniętych drzwi leśniczówki i przez chwilę miał zamiar dać drapaniem łap do zrozumienia, że chce tam wejść.

Lecz nie uczynił tego. Wiedząc, że zajrzeć można do wnętrza nietylko przez drzwi, skierował się ku oknu, przez które padał na śnieg słaby blask.

Podniósł się trochę, opierając o ścianę przednie łapy — spojrzał...

W chacie było cicho.

Na przykrytym białym obrusem stole, po obu stronach opartego o dzbanek z pękiem wierzb i nieśmiertelników obrazu Serca Jezusowego, płonęły dwie żółte, kopcące niemiłosiernie świece.

Tuż na ławie, przysuniętej do stołu, ubrany odświętnie, z rękami złożonemi na piersiach, leżał stary leśnik.

Wokół niego, na sąsiedniej ławie i na tapczanie, w cieniu pieca, siedziało kilka sennych, kiwających się postaci ludzkich.

Czasami dobiegło do wytężonych uszu Dungaja ciche szeptanie pacierza... Czasami ułowił w ciszy rozełkany jęk pochylonej nad starcem żony...

Nie zrozumiał odrazu treści obrazu.

Zdziwiła go tylko straszliwa bladość twarzy pana, jego kamienny, niezwruszony spokój — ten cały ponuro-smętny nastrój.

Gdy jednak ujrzał w oczach biednej wdowy szkliste łzy, gdy pacholę z jękiem runęło na pierś ojca— zaświtało w jego umyśle straszliwe przypuszczenie.

Na myśl tę opadł na cztery łapy, zjeżył na grzbiecie sierść i warknął głucho, posępnie...

Potem znów spojrzał w okno.

W izbie nic nie uległo zmianie. Taksamo paliły się, kopcąc, świece. Taksamo kiwały się sennie rozespane baby.

Dungaj zawęszył: wyczuł śmierć!

Odpadłszy od okna, zawył w zamgloną dal rzewnie... grobowo...

Potem cały rozdygotany zerwał się i szalonym cwałem pognał w las, rzucając w przestrzeń dzi... niemilknący skowyt...

Hej... rozchybotały się na wietrze w owe popołudnie zimowe drzewa. Rozjęczał się na ośnieżonych pustkowiach wicher. Od rana zadymka tańczyła po martwych polach. Żaden ptak nie śpiewał. Zaśnieżony świat milczał, jak zaklęty. Ustawicznie zawodziły tylko rozpętane wiatry.

Ponuro było i smutno.

Kierując się ku dalekiemu „mogilnikowi", sunął zasypaną napoły drogą żałobny orszak. Nieliczny, smutny, krok za krokiem, dążył powoli do celu.

Za garstką ludzi, w tyle, jechały okazałe sanie. Siedział w nich pan ze dworu; kochał on starego le-

śnika. Łączyły go nawet z nim, jak opowiadano, jakieś dalekie związki pokrewieństwa. Lecz nikt nie ręczył za prawdę. Wiadomą było tylko rzeczą, że niejedną ze sobą przeżyli w puszczy chwilę.

Dziś przybył, ażeby oddać wiernemu słudze ostatnią posługę.

W żałobnym kondukcie brał także udział Dungaj.

Ze spuszczoną głową, zbiedzony, z oczyma zamgłonemi szedł obok sań z trumną. Na nikogo nie zwracał uwagi, nic go nie obchodziło całe otoczenie — z niemem napięciem obserwował tylko żółtą skrzynię, kryjącą w swem wnętrzu drogiego pana.

Co go dziś świat obchodził?

Na marach leżał ten, który go ongiś pierwszy po matce pieszczotą obdarzył, którego serca nigdy mu nie brakło.

Stawiał nogę za nogą, pogrążony w tępym bólu...

Orszak żałobny, minąwszy małą wiosczynę, docierał już do wrót cmentarnych. Z szarzejącej wśród starych, czerwonych sosen kaplicy odezwał się jękliwy dźwięk rozkolebanego dzwonu...

Witał umarłego... Śpiewał mu pieśń pogrzebną...

Łkanie jego toczyło się po cmentarnych kurhanach, leciało drżące hen... daleko, w polne rozłogi, w ten świat szeroki, gdzie już dzień wietrzny się kończył, a w uciszonem powietrzu rozpylać się poczynał szary, wieczorny mrok...

Kiedy na spuszczoną do dołu trumnę według ceremonjału kapłan zrzucił z głuchym łoskotem łopate piachu, kiedy zaczęli to robić inni — z pomiędzy obnażonych kłów Dungaja wydobył się dziki, podobny do dalekiego gromu, grzmot.

Nie chciał pozwolić, by zagrzebano tę trumnę.

A gdy, ukończywszy obrzęd, oddalił się kapłan, gdy rozeszli się powoli wszyscy, kiedy na ziemię spłynął całkowity zmierzch — pies sam pozostał przy mogile.

Usiadł na zadzie i dumał...

Z przestronnych pól nie dolatywał już jęk wiatru. Było zupełnie cicho. Rozsuwająca się na wieczór mgławica opadła, zginęła. Przychodziła brać świat w swe władanie cicha, mroźna, zimowa noc...

Na wygwieżdżające się szybko szafirowe niebo wypłynęła z za czarnej ściany boru miedziana twarz księżyca.

Dungaj wciąż myślał.

Przed oczyma jego psiej duszy przepływał szybko, niby rączy potok, bieg jego całego życia. Przeglądał wszystko. Czuł co traci w leśniku. Rozumiał, że pękła już druga spójnia jego dziecięcego szczęścia, że po śmierci kochanej matki nadszedł zgon dobrego człowieka. Pozostało mu tylko z dawnych dni promiennych to trzecie spoidło, złote słońce...

Uczuł jakiś rozstrój wewnętrzny, jakąś dziwną mgłą zabiegły mu ciemne oczy...

Podniósł ku niebu, jakby w poszukiwaniu słońca, trójkątny łeb i zawył długo... żałośnie...

...Dzisiaj dla niego rozłogiem tylko leżał świat, tylko w przestworzu wisiało słońce, smutne oko cieszyła jedynie Rybka... Pozatem nie miał — nic!...

Rozdygotany słał ku bladej tarczy księżyca bolesną skargę. Rzucał w niezmierne przestrzenie przeogromny żal, zawarty w spazmatycznym skowycie...

Księżyc odpowiadał mu milczeniem. Obojętnie mrugały gwiazdy. Las najmniejszym szmerem nie dawał znaku życia.

Tylko na świeżo usypanej mogile pana płakał wierny pies...

TYTUS KARŁOWICZ

DUBELT.

(Dokończenie).

Gnieżdżą się dubelty w miejscowościach opisanych powyżej, na kępach trawy lub mchu, wystających nad poziomem łąki. Gniazda ich są bardzo prymitywne. Jest to zawsze zwykłe, płytkie zagłębienie w ziemi, wysłane suchemi źdźbłami traw. Dubelty lęgną się kolonjami, toteż gniazda ich spotykają się zazwyczaj w niedużej od siebie odległości i zgrupowane są tylko w pewnej części błota.

Do tych samych miejsc lęgowych przylatują dubelty rokrocznie. W maju, w okresie trwania toków, samica znosi do gniazda 4 jaja pięknej, gruszkowatej formy, jak zresztą u wszystkich ptaków brodzących, o wymiarach u starych samic 5×3,5 cm. zaś u młodych tylko 4,5 cm. × 3 cm. Barwa tła jaj jest bladozielona, lub zielonawo-szara, upstrzona rudemi plamkami, przykrytemi większemi smugami ciemno-brunatnemi. Największe plamy koncentrują się w tylnej części jajka, skąd rozchodzą się ku czubkowi, jako mniejsze centki, a nosek jest już całkowicie ich pozbawiony. Nawet tło na niem jest jeśniejsze, prawie białe i połyskujące. W gnieździe jaja ułożone są czubkami do wewnątrz, w formie czteroramiennej gwiazdki. Znaleźć je można pomiędzy 15 maja, a 10 czerwca, w zależności od położenia geograficznego, okolicy, oraz pogody wiosennej.

Wysiadywaniem jaj i wychowywaniem piskląt zajmuje się wyłącznie samica. Samce, po ukończeniu toków, przebywają zdala od gniazda, kryjąc się wśród kęp i wyrastającej trawy, gdzie pierzą się i żerują po całych dniach, obrastając w warstwę tłuszczu. Okres wylęgania trwa 20 do 23 dni. W tym czasie, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich dni, matka prawie nie opuszcza jaj, żerując w najbliższem sąsiedztwie gniazda i to zawsze bardzo krótko. Też najczęściej, właśnie w tym okresie, staje się łupem drapieżników, dybiących na jej smaczne mięso.



Jajko dubelta.

Mniej więcej od połowy lipca rozpoczynają młode dubelty żywot samodzielny i zaczynają odtąd koczować. Przenoszą się z miejsc lęgowych do innych, o podobnej topografji. Wędrują pojedyńczo, lub małemi grupkami tak, jak to ma miejsce z dubeltami, nadlatującemi do nas z północy. Pojawiają się wówczas w takich miejscach, gdzie ich przedtem nigdy nie było i gdzie potem też się ich nie spotyka. Widzieć je można nawet w różnych, zgoła nieprawdopodobnych zakątkach: na łąkach i to zarówno rozległych, położonych zdala od siedzib ludzkich, jak i maleńkich, rozrzuconych wśród pól i lasów; trafiają się na mszarach sosnowych i mchach, na polan-

kach i mokradlach, na torfowiskach i łachach nadrzecznych. W wędrówkach swoich wolno, ale systematycznie posuwają się na południe. A tymczasem z północy nadciągają do nas nowe rzesze, wędrujące do ciepłych krajów, rugowane ze swych siedzib przez nadchodzące chłody. Ptaki te bawią w Polsce nieraz aż do końca września, kiedy to pierwsze podmuchy zimy zmuszają je do dalszej podróży.

W tym właśnie czasie, poczynając od połowy lipca, rozpoczyna się sezon polowań na te ptaki. Łowy te są tak pospolite i powszechnie znane, że niema chyba w Polsce myśliwego, któryby nie zabił w życiu z pod wyżła choć paru tłustych, jesiennych dubeltów. A jednak, mimo swej pospolitości, miłe pozostawiają wrażenia.

W pogodny ranek jesienny wyruszamy z wiernym czworonogiem na pobliskie, zębato wykoszone łąki. Słońce przyświeca blado, melancholijnie jakoś i rzewnie, jakby żegnało odartą z plonów ziemię, jakby kołysało ją do długiego, zimowego snu. W powietrzu snują się jedwabiste pajęczyny, osiadające starczą siwizną na krzewach przydrożnych i chwastach. Schodzimy na moczar. Stójka —i zaraz ciężki wzlot opasłego długodzioba. Dubelt przed psem dosiaduje twardo, a naciśnięty — porywa się niechętnie, wydając krzyk, przypominający dźwięk: „szhep". Lot ma równy, jednostajny, ale dosyć szybki. Po zerwaniu się, odlatuje kilkadziesiąt metrów i znowu zapada. Toteż chybiający myśliwy ma często możność rychłego naprawienia swych partackich strzałów, które, nawiasem mówiąc, są przeważnie bardzo łatwe.



Portret z kniei. Fot. S. hr. Zamoyski.

Inna rzecz, że czasem zasiądą dubelty na mokrem, grząskiem błocie, gdzie pomiędzy kępami czernieje gęsta, ciemna maź, w której noga zapada się powyżej kolana. Biedny nemrod, zdążający do stojącego twardo wyżła — musi się porządnie zmęczyć, zanim przebędzie potrzebną przestrzeń i w rezultacie, spocony i zziajany, pudłuje zawzięcie do porywających się ptaków, które zdają się drwić z nieporadności wyczerpanego łowca. Ale znowu spotyka się tę zwierzynę, nawet dosyć często, na twardych, równych łąkach i tu prawie każdy strzał dodaje nową zdobycz do wypchanej aż po brzegi torby. W takich warunkach polowanie bywa przemiłe, nie ustępujące żadnemu innemu „wyżłowaniu", począwszy od kuropatw na bezmiernych obszarach pól, aż do młodych cietrzewi, pracowicie wydeptanych na gęstym, wilgotnym mszarze, porośniętym, oprócz skarlałych sosenek — zwartem poszyciem białopiennych, rachitycznych brzózek, lub gęstwą srebrzących się podbiciem listowia łóz. I tylko jesienne łowy z wyżłem na pardwy dają silniejszą gamę wzruszeń myśliwskich, których nie da się porównać z żadnem innem polowaniem z pod psa. Łowy na dubelty mają jeszcze i tę dobrą stronę, że, chodząc po łąkach i bagniskach — spotykamy mnóstwo innej zwierzyny, urozmaicającej wyśmienicie łowiecką włóczęgę. Trafiają się więc w miejscach wilgotnych różne odmiany kaczek, na łączkach śródleśnych znajdujemy stadko młodych cietrzewi, czasami wystrzeli z trawy krętolotny kszyk, do którego zazwyczaj pudłuje się, zwłaszcza po uprzednich łatwych strzałach do dubeltów. Nieraz wystawi pies jakiegoś brodźca, kulika, czajkę, a nawet kurkę wodną, lub derkacza. Ten ostatni, będący zresztą marną zwierzyną, jest ogromnie niemiłą niespodzianką dla właścicieli młodych, niezbyt doświadczonych wyżłów.

Myszkujący ustawicznie w trawie derkacz żadną siłą nie da się zmusić do wzlotu, doprowadzając do rozpaczy biednego psa, ściągającego doń, jak do jakiejś poważnej zwierzyny. Zdenerwowany wyżeł zaczyna wreszcie rzucać się z łapami na uciekającego spryciarza, usiłując bezskutecznie przygnieść go do ziemi, a gdy i to nie pomaga — goni po całej łące, hazardując się coraz bardziej i zapominając o swej z trudem nabytej tresurze. Widząc zatem z zachowania się legawca, z kim się ma do czynienia, trzeba natychmiast go odwołać i doprowadzić na inną część łąki, dalej od siedliska derkacza. W przeciwnym razie, nawet dobrze już ułożony pies łatwo się bałamuci i traci poczucie karności. Stary wyżeł, jako bardziej spokojny i opanowany, nie przejmuje się zbytnio figlami tego nadzwyczaj zwinnego ptaka i potrafi wkońcu zmusić go do zerwania się. A rozzłoszczony myśliwy posyła mu wówczas kilka śrucin, po których ptak koziołkuje i, jak bezkształtna szmata, spada na ziemię.

Sam dubelt jest natomiast idealną zwierzyną do tresury młodych legawców. Nigdy piechotą nie wycieka, plącząc ślad, lecz siedzi zastraszony tak twardo, przytulając się do kępy, czy trawy, że pies musi trącić go niemal nosem, aby zmusić do zerwania się. Pozatem wydziela silną, specyficzną woń, łatwa do wyczucia nawet dla psów o słabszym węchu. Spłoszony, nie odlatuje też nigdy zbyt daleko, a wkrótce, w odległości kilkudziesięciu metrów, zapada ponownie. Toteż myśliwy ma możność kilkakrotnego podchodzenia do jednej i tej samej sztuki, a pies wprawia się znakomicie w robieniu stójek. Ułatwia to doskonale układanie wyżłów nawet i w takich łowiskach, gdzie dubelty nie występują w dużych ilościach.

A że tereny zamieszkałe przez te ptaki są w większości wypadków łatwo dostępne, więc myśliwy może w ciągu dnia opolować spory obszar, zdobywając liczne trofea i dając swemu czworonogiemu przyjacielowi olbrzymie pole do popisu. W czasie łowów jesiennych nie należy nigdy zrażać się tem, że spotkaliśmy bardzo małą ilość długodziobej zwierzyny w ciągu całodziennej, myśliwskiej włóczęgi. Już zaraz nazajutrz będziemy nieraz mogli strzelać do licznych ptaków, zasiadłych na tem samem miejscu. Dubelty bowiem nalatują niespodzianie i osiadają często w takich zakątkach, gdzie nie spodziewałby się nawet nikt ich obecności. Miałem możność natrafić raz na sporą gromadkę tego ptactwa w przylegającym do dworu sadzie owocowym, gdzie rzecz prosta nigdy w innym czasie dubeltów nie było. Innym razem widziałem trzy te ptaki, spacerujące po kamienistym brzegu rzeki.

Z końcem września liczba dubeltów, koczujących po naszych łowiskach, wybitnie maleje. Większość bowiem tych ptaków opuściła już Polskę, przenosząc się bardziej na południe. Pozostałe, nieliczne osobniki, dzięki nadzwyczajnej obfitości pożywienia — pokrywają się warstwą tłuszczu, stają się bardzo ociężałe i niechętnie opuszczają ulubione miejscowości, bawiąc w nich aż do nastania pierwszych chłodów. W niektórych jednak zakątkach, odpowiadających wymaganiom tych ptaków, jeszcze i w tym czasie występują dubelty w pokaźniejszej ilości, lecz przeważnie sezon łowów na tę zwierzynę kończy się

z dniem 20 września. Później mogą się zdarzać tylko sporadyczne spotkania, lecz wyruszać specjalnie na dubelty już się nie opłaci. A miło jest czasem, polując na pardwy, czy bekasiki, strącić celnym strzałem leniwego tłuściocha, przywodzącego na myśl niezbyt jeszcze dawne łowy na bezkresnym obszarze zamglonych łąk, kiedy to wierny pies wystawiał nam co chwilę te sympatyczne ptaki. Dubelt taki, upolowany późną jesienią, staje się rzadką i dlatego bardziej wartościową zwierzyną. Nie lubią go tylko różni wystrojeni, niedzielni myśliwi, gdyż tłuszcz ptaka przesącza się przez pierze i siatkę, plamiąc brzydko eleganckie, jasne bryczesy, czy kurtki, które potem nie dadzą się już oczyścić.

Przechodząc do ochrony dubeltów, pragnąłbym podkreślić raz jeszcze jej konieczność. Szybkość, z jaką zanika na ziemiach naszych ta miła zwierzyna, jest zastraszająca. Każdy sezon jesienny przynosi nowe ubytki, stawia coraz smutniejsze horoskopy na przyszłość. Toteż najwyższy czas, aby ci wszyscy myśliwi, którzy posiadają w swych łowiskach lęgowe dubelty, zechcieli przyczynić się do ich rozmnożenia i zapewnienia polskiemu społeczeństwu łowieckiemu długoletnich jeszcze łowów, dających nieraz w sezonie jesiennym tyle pięknych chwil.

O faktycznej hodowli, jako takiej, naturalnie mowy być nie może, bowiem dubelt jest ptakiem trudno oswajającym się, ceniącym nadewszystko swobodę, toteż wątpię, czyby dało się go jakoś sztucznie hodować, jak np. bażanty, czy kuropatwy. Mówić zatem tylko można o jego ochronie, a właściwie o ochronie jego miejsc lęgowych. Jak już raz zaznaczałem, dubelty są bardzo wybredne w wyborze lęgowisk i, skoro tylko zostaną z ulubionych siedlisk wypłoszone — najczęściej wynoszą się z tej okolicy zupełnie, emigrując na bardzo nieraz odległe tereny. O ile natomiast w czasie lęgu mają spokój — rokrocznie powracają wówczas do tych samych miejsc i zasiedlają je w coraz większej ilości.

Wrogów mają dubelty bardzo dużo. Stare ptaki napastowane sa przez różne gatunki błotniaków, sokołów i jastrzębi. Jaja i młode, oraz wysiadujące starki padają często ofiarą lisów, kun, łasic, borsuków i wałęsających się kotów, a także wron, kruków i srok. Ale najgroźniejsi są pastuszkowie i towarzyszące im psy, mogący zniszczyć całe dziesiątki i nawet setki gniazd, wybierając jaja na jajecznicę, lub poprostu dla psoty. Duże też szkody wyrządzają powodzie, zatapiając siedziby dubelcie i niszcząc całe lęgi, zwłaszcza o ile następują w czasie, gdy samice już siedzą na jajach.

Chcąc rozmnożyć dubelty w łowisku, należy przedewszystkiem wyłączyć ich miejsca lęgowe z pod wszelkiej gospodarki ludzkiej, a więc w piewszym rzędzie zakazać pasania tam bydła i koszenia trawy. Zazwyczaj daje się to łatwo uskutecznić ze względu na to, że dubelty lęgną się na takich terenach, gdzie rośnie kwaśna, nędzna trawa, nieprzydatna dla celów rolniczych, zaś łąki są kępiaste, mokre, niewygodne do zasiewania i koszenia. Toteż pozostawienie nietkniętych kilku, albo i kilkunastu hektarów takich nieużytków żadnego gospodarstwa nie zrujnuje, a obfitość wylęgłej zwierzyny będzie dla prawdziwego myśliwego dostateczną rekompensatą za poniesione straty materjalne.

Dubelty, jak zresztą i wszystkie inne ptaki łowne, wymagają w okresie lęgowym absolutnego spokoju, toteż kręcenie się ludzi w tym czasie po terenach przez nie zamieszkałych jest dla zwierzostanu bardzo szkodliwe, bez względu na to, czy będą to kosiarze, pastuszkowie, czy robotnicy, zatrudnieni przy drenowaniu łąk.

Jedną z poważniejszych przyczyn zaniku dubeltów jest regulacja rzek, strumieni, oraz osuszanie błot i mokradeł. W pierwszym roku, po przeprowadzeniu gospodarki ludzkiej, ptaki te zdają się jeszcze nie spostrzegać zmian, jakie zaszły w terenie i gnieżdżą się nadal w ulubionej przez siebie okolicy. Natomiast w roku następnym, gdy spadek poziomu wód staje się już bardzo widoczny — liczba lęgnących się dubeltów znacznie maleje. Pozostają na okres gniazdowania tylko młode, niezbyt jeszcze doświadczone samice, podczas gdy starki wynoszą się już gdzieindziej. W dalszych latach ptaki te przestają się gnieździć w tej miejscowości zupełnie i łąka, jeszcze przed paroma laty stanowiąca istne eldorado długodziobej zwierzyny — świeci odtąd pustkami.

Przy dobrych chęciach i temu złu można jednak zaradzić. Przystępując do meljoracji błota, będącego siedliskiem dubeltów, należy wydzielić pewien obszar, najmniej nadający się do użytkowania, a więc kępiasty, lub porosły najgorszą trawą i pozostawić go w stanie pierwotnym, czyli stworzyć z niego maleńki rezerwat. Wobec osuszenia moczaru, część dubeltów opuści tę okolicę zupełnie, ale jednak sporo ptaków przeniesie się właśnie na ten pozostawiony dla nich teren i zacznie tutaj słać gniazda. W ten sposób utrzymamy w łowisku trochę tej zwierzyny i co ważniejsze, że zaaklimatyzowane dubelty zaczną z czasem wyszukiwać na osuszonem błocie miejsc najbardziej dla nich odpowiednich i choć nielicznie, to jednak stopniowo będą osiedlać się ponownie, przystosowując się do zmienionych przez ludzi warunków. O ile zaś meljorując bagnisko — nie pozostawimy takiego rezerwatu, to w ciągu paru lat wszystkie dubelty opuszczą teren nazawsze. Zapewnić też muszę czytelników, że wskazówki tej nie podaję tylko do wypróbowania, lecz miałem możność w praktyce parokrotnie przekonać się o jej skuteczności, o ile naturalnie pozostawiony rezerwat nie jest zbyt mały. Powinien on zajmować jakieś 10 procent osuszonej powierzchni moczaru, w każdym razie niewiele mniej. Minimalny obszar, na jakim, mojem zdaniem, można by było „umiejscowić" lęgowe dubelty — powinien wynosić 1½ ha, zresztą może ktoś z naszych myśliwych - hodowcw przeprowadzi eksperyment hodowlany nawet i w mniejszym rezerwacie. Spróbować zawsze można. Jednak tym wszystkim właścicielom ziemskim, dla których obszar kilku, czy kilkunastu hektarów nie posiada dużego znaczenia, gorąco polecam tworzenie większych rezerwatów, gdzieby zwierzyna, w tym wypadku dubelty, miała możność spokojnego, nieograniczonego szczupłością terenu lęgu, co odbija się bardzo pomyślnie na wzroście liczebnym zwierzostanu, a co zatem idzie — na późniejszych rozkładach polowań.

Dzieląc się tą garścią spostrzeżeń i wiadomości z szerszem gronem braci z pod znaku św. Huberta, pragnąłbym szczerze, aby ten długodzioby ptak wzbudził w nas jak największe zainteresowanie i stał się przedmiotem zabiegów hodowlanych licznej rzeszy polskich myśliwych. A pamiętajmy, że nadszedł najwyższy czas do wszczęcia energicznej akcji ratowania lęgowego dubelta: za kilka lat może być już zapóźno i ptak ten podzieli los przepiórki, o której można prawie powiedzieć, przynajmniej na ziemiach wschodnich i północno - wschodnich, że wyginęła zupełnie.

Byłoby także rzeczą wielce pożądaną, by w sprawie dubelta wypowiedzieli się i inni myśliwi, zwłaszcza ci wszyscy, którzy stykali się częściej z tą zwierzyną, a więc w pierwszym rzędzie właściciele terenów, stanowiących lęgowiska tego ptactwa, oraz myśliwi „dawnego autoramentu", pamiętający inne czasy i inne, niż obecnie, rozkłady dubelcie.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

OBOZOWISKO LEŚNE.

Ze wszystkich momentów, które najsilniej pozostają nam w pamięci, najbarwniejszemi są bezwątpienia chwile, spędzone u obozowego ogniska. Czy to w dzień, czy w nocy, jesienią, zimą, czy wiosną, jednakowo silnie przemawia do nas „dusza" ognia, tego odwiecznego przyjaciela i opiekuna człowieka.

Mimowoli, gdy siedzimy przy wesoło trzaskającem ognisku, nasuwa się nam myśl, iż taksamo ogrzewało ono myśliwca, uzbrojonego w skałkówkę, jak rycerza, w zbroję zakutego, jak wreszcie człowieka z wieku kamiennego.

Dla nas, w dobie rozwoju cywilizacji, niezbędność ognia daje się najsilniej odczuć wówczas, gdy jesteśmy w puszczy, odrzuceni daleko od miast z ich komfortem i urządzeniami kulturalnemi.

Piszę niniejszy artykuł dla myśliwych miejskich, którzy, rzadko wyjeżdżając z miasta na polowanie, nie mogą być dostatecznie obznajmieni z urządzaniem leśnych obozowisk. Urządzenie bowiem obozowiska nie jest bynajmniej rzeczą tak prostą, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawało. Nawet rozpalenie ogniska wymaga pewnej wprawy i rutyny, od tego więc rozpocznę, jako od kardynalnej podstawy obozu.



Wiosenny rozlew. Fot. W. Korsak.

Najodpowiedniejszym materjałem na leśne ognisko jest drzewo sosnowe. Pali się ono równo, nie trzeszczy i nie rozrzuca iskier, jak np. świerkowe, a daje dużo rozżarzonych węgli, co jest właśnie najważniejsze. Zbytecznem jest chyba wyjaśniać, że nadaje się na ognisko tylko drzewo suche. Najlepszym jest stary susz, stojący na pniu, gdyż drzewo leżące na ziemi jest przeważnie wilgotne.

Kwestja rozpalenia ogniska nie jest wcale rzeczą łatwą, szczególnie po deszczu, lub wczesną wiosną, gdy nie ma się pod ręką suchych drewek na rozpałkę. W takich wypadkach trzeba szukać smolaków. Znajdują się one w starych pniach sosnowych, u samych korzeni, jeśli zaś tych ostatnich niema w pobliżu, to można użyć suchych, cienkich gałązek świerkowych, znajdujących się u podstawy młodych, gęsto rosnących świerczków, gdyż nawet po długotrwałych deszczach nie są one wilgotne.

Rozpalać ognisko należy w sposób następujący: najprzód zapala się wiązkę suchych, świerkowych gałązek, lub kilka smolaków, następnie nakłada się na ogień naręcze grubszych gałązek, około 1 do półtora cm. grubości. Gdy małe to ognisko już się dobrze rozpali, dorzuca się kilka grubych gałęzi, a gdy te już się zajmą, kładzie się wzdłuż kierunku wiatru i koniecznie równolegle do siebie trzy — cztery grube kłody w ten sposób, by przylegały szczelnie jedna do drugiej, i żeby ognisko znajdowało się w połowie ich długości. Niebawem płomień ogarnie całą długość kłód tak, że będą one dawały maksimum ciepła. W miarę, jak kłody dopalają się, trzeba dorzucać świeżego paliwa.

Jest jeszcze jeden sposób zakładania ogniska, t. zw. „nadja" syberyjska, lecz ognisko w ten sposób rozłożone daje mniej ciepła, nie będę go zatem opisywał. Ma wszakże ten sposób tę dobrą stronę, że zużywa mało paliwa.

Przechodzę teraz zkolei do zakładania obozowiska. Latem nie przedstawia to większych trudności: dość jest rozpalić ogień i obozowisko gotowe, lecz wczesną wiosną, jesienią lub zimą sprawa jest bardziej skomplikowana, zwłaszcza gdy spadną śniegi. W tym wypadku należy wybrać miejsce osłonięte od wiatru. Następnie naciętemi w tym celu, sosnowemi gałęziami zamiata się ze śniegu do gołej ziemi plac 4 do 5 kroków szeroki i 7 do 8 długi. W środku tego placu rozkłada się ognisko z dużego stosu cienkich gałązek. Gdy te już dopalą się zupełnie, kładzie się na pozostały po nich popiół grubą warstwę „łapek" świerkowych, lub — w braku tych ostatnich — sosnowych, które służą za posłanie. Gdy to już jest uskutecznione, zapala się ogniska po obu węższych stronach oczyszczonego placu, jak wskazano wyżej. W ten sposób urządzone obozowisko daje możność znośnego spędzenia nocy nawet w najtęższe mrozy. Zbędnem jest wspominać, że dwa ognie rozpala się tylko w wielkie mrozy. Przy temperaturze powyżej —3° C. nie zachodzi tego potrzeba. W tym wypadku ognisko rozpala się z jednej, dłuższej strony oczyszczonego placu i śpi się zwróconym nogami ku ognisku. Śnieg należy tu odgarniać w jedną stronę tak, aby znajdował się on po przeciwnej od ognia stronie, gdyż często odbija się od białej jego ściany.

W razie, jeśli obozowisko znajduje się przez czas dłuższy na jednem miejscu, zachodzi potrzeba zbudowania stałego schronienia. Może być ono pod postacią zwykłego szałasu, lub tak zwanego „kurenia". Ten ostatni buduje się przeważnie w miejscach, gdzie stale, co roku przyjeżdża się na polowanie, t. j. naprzykład w pobliżu toków głuszcowych lub cietrzewich i bywa dwóch rodzajów: kureń właściwy i tak zwany na Polesiu „stan". Pierwszy z nich składa się z ustawionych stożkowato desek. Kureń taki ma być conajmniej 4 metry wysoki i tejże średnicy u podstawy. Z boku zostawia się otwór na drzwi, który zawiesza się słomianą matą, u góry zaś — dziurę o średnicy jednego metra, przez którą wychodzi dym. Ogień, naturalnie niezbyt wielki, rozpala się pośrodku. Ten rodzaj schroniska uważam za najpraktyczniejszy, z tego też powodu nie będę się zajmował szczegółowym opisem „stanu". Nadmienię tylko, że składa się on z dwóch, stojących naprzeciw siebie budek. Ogień rozkłada się między temi budkami.

Budowa zwykłego szałasu wymaga również pewnej rutyny. Buduje się go, jak następuje: wycina się najpierw dwie pary widełek 2½ metra wysokich i 3 patyki ok. 3 m. długie, grubości do 6 cm., oraz większą ilość cienkich patyczków o tejże grubości. Następnie wbija się widełki w odległości niecałych 3 metrów od siebie, na ¼ metra głęboko, kładzie się na nie jeden z grubszych patyków, a dwa pozostałe opiera się na nim jednym końcem po obu stronach, przy samych widełkach, drugi zaś koniec kładzie się na ziemi. Na tych dwu patykach układa się poprzecznie cieńsze patyczki, w odległości około 20 cm. od siebie i przykrywa się je możliwie najgrubszą warstwą „łapek" świerkowych. Ogień rozkłada się poprzecznie przed szałasem. Szałas taki wcale nieźle

chroni od deszczu, pod tym wszakże warunkiem, by dach jego był ustawiony pod niezbyt ostrym do ziemi kątem.

Teraz słów parę o urządzaniu posłania. Najlepszym na to materjałem są „łapki" świerkowe, w braku wszakże tych ostatnich można użyć gałązek sosnowych. Układa się je grubą warstwą nakształt rybiej łuski. W ten sposób urządzone posłanie przedstawia chociaż twarde, lecz suche łoże.

Na zakończenie wypada mi tu wspomnieć o sposobie, w jaki trzeba gotować sobie strawę na polowaniu. Do tego celu używa się kociołków i imbryków, które koniecznie muszą być zaopatrzone w uszko do wieszania ich nad ogniem. Robi się to w sposób następujący: wycina się z mocnego drzewa grubości 3 do 4 cm. widełki, haczyk (kulkę), oraz patyk, długości około 2½ metra. Widełki te winny być około 1 metra wysokie, haczyk nieco wyższy. W oddaleniu 2½ metra od ogniska wbija się w ziemię haczyk, o metr bliżej — widełki. Następnie zakłada się patyk w ten sposób, by był on oparty o widełki, przechodził cieńszym swym końcem pod haczykiem i aby grubszy koniec jego znajdował się nad ogniem. Na tym końcu wiesza się imbryk lub kociołek.

Kończąc, śmiem wyrazić nadzieję, że te kilka podanych wskazówek pomogą kolegom myśliwym w niejednej trudnej chwili.

OTTON PEREŚWIET-SOŁTAN

UJEMNE STRONY WYCHOWYWANIA SARN W NIEWOLI.

Co roku z końcem wiosny, w wielu dworach i leśniczówkach wychowują złowione umyślnie, lub też znalezione przypadkowo sarnięta — zwykle dla uciechy i zabawy dziatwy. Większa część tych wychowanków, z powodu niehigienicznego pożywienia i pomieszczenia, ginie po kilku dniach na choroby żołądka i jelit, wiele jednak wychowuje się zdrowo i wyrasta normalnie.

Sarny bardzo prędko dają się oswoić i są miłemi i powabnemi zwierzętami. Trzymane jednak na swobodzie, prędzej czy później giną tragicznie, z powodu jakiegoś wypadku. Najczęściej stają się pastwą obcych psów, albo i domowych, zwłaszcza trzymanych przez dzień na uwięzi. Psy pokojowe i legawe, łatwo przyzwyczaić do towarzystwa oswojonej sarny. Mogą się nawet bawić wspólnie, nie robiąc sobie nic złego.

Jeżeli oswojona sarna zamłodu uniknęła szczęśliwie niebezpiecznych dla niej wypadków i doszła do zupełnego rozwoju, to w czasie rui błąka się, szukając towarzyszy i uchodzi do lasu. W tym czasie naraża się na największe niebezpieczeństwa. Oddalając się od domu, gdzie została wychowana, pada najczęściej pastwą włóczących się psów. Gdy nawet uniknie czyhających na nią z tej strony niebezpieczeństw i pozostanie w lesie, to i tam jeszcze, jako mniej czujnej, a przywykłej do widoku ludzi, grozi ze strony kłusowników większe niebezpieczeństwo, niż dzikiej.

Jeżeli wychowane sarniątko okaże się samcem, to, gdy z sarniątka wyrośnie na rogacza, staje się on bardzo niebezpiecznym dla dzieci i kobiet, a nawet i dla dorosłych mężczyzn. Kobiety w pewnym okresie mają w nim niebezpiecznego wroga... Wypadki ciężkiego pobicia kobiet zdarzają się często — nawet i dorośli mężczyźni, zaskoczeni znienacka przez rozjuszonego kozła, nie mogą się obronić i bywają dotkliwie pobici. Przytoczę dla przykładu pewne wydarzenie, które słyszałem z ust dotkliwie pobitego przez kozła .. stroiciela fortepianów.

Strojąc fortepian we dworze hr. B., po skończonej pracy wyszedł on na przechadzkę do pobliskiego lasu. Idąc zadumany drogą leśną, raptem uczuł silne uderzenie ztyłu, poniżej bioder. Cios był tak nagły i z taką siłą wymierzony, że biedny stroiciel, jak podcięte drzewo, runął twarzą do ziemi. Zerwawszy się po upadku na równe nogi, ujrzał za sobą kozła, gotującego się do ponownego ataku. Zanim pomyślał, jak się ma bronić, znowu nastąpił bolesny cios, po którym bezbronny człowiek upadł powtórnie na ziemię, bojąc się już powstać, by nie otrzymać ponownego uderzenia. Lecz rozjuszony kozioł nie poniechał powalonego stroiciela i tak go boleśnie „nastrajał" głową i rogami, że biedak wkońcu wydawał coraz wyższe tony. Wreszcie na ten koncert przybiegł gajowy, na którego widok rogacz umknął do lasu. Poszkodowanego stroiciela odesłano do szpitala, gdzie przeleżał czas dłuższy — chory ze strachu i pobicia. Jak się potem okazało, kozła tego wyhodował leśniczy i już dorosłego puścił do lasu. Nigdy jednak przedtem nie zdarzyło się, by kozioł kogoś atakował. Widocznie przybyły z miasta stroiciel miał jakiś specyficzny, drażniący powonienie kozła odwiatr, który spowodował tak gwałtowny atak.

A oto drugi fakt. Do pewnego dworu przynieśli nad wieczorem powracający z łąki kosiarze schwytanego tam kozła. Kozioł był przez chwytających srodze poturbowany i silnie skrępowany. Litując się nad biedakiem, właściciel dworu kazał go rozwiązać i puścić na noc do sadu, sądząc, że, gdy odpocznie, pójdzie do lasu. Okazało się jednak, że kozioł był przez kogoś oswojony, z dalszej tylko okolicy zapewne się przybłąkał. Uciekać po przebytej bolesnej przygodzie widocznie nie miał zamiaru i pozostał we dworze. Trzymał się stale koło domu, a najczęściej przebywał w sadzie, nie atakując nikogo z domowników. Lecz raz, gdy bona ze dworu znalazła się sama w sadzie, kozioł przybrał groźną postawę, gotując się do ataku. Bona, widząc grożące jej niebezpieczeństwo, wskoczyła na pobliski stół ogrodowy, sądząc, że tam będzie bezpieczną. Kozioł jednak wskoczył również na stół, zepchnął przestraszoną na ziemię i srodze ją pobił. Gdyby na krzyk bitej nie przybiegli wkrótce domownicy i nie odpędzili rozjuszonego rogacza, kto wie, czyby bona wyszła z tej przygody z życiem. Dodać trzeba, że kozioł ten znał bonę i na zawołanie jej przychodził i jadł podany mu pokarm z rąk. Tym razem miał jednak widać powód do wrogiego wystąpienia.

Przytoczę tu jeszcze jedno ciekawe wydarzenie, jakie mieliśmy z kozłem przez nas wychowanym.

W dzień Zielonych Świąt wyjechałem w porze popołudniowej do lasu, by obejrzeć pasące się na polance przy szosie owce. W trakcie przeglądu owiec ujrzałem idącego z miasteczka , dworskiego czeladnika kowalskiego, a za nim w niewielkiem oddaleniu biegnącego, jak mi się zdaleka zdawało, angielskiego, pokojowego charcika. Zaciekawiony, skąd czeladnik mógł dostać takiego charcika, zaczekałem na jego zbliżenie i spytałem go, skąd wziął tego pieska. Czeladnik, zdziwiony mojem pytaniem, stanął i obejrzał się na biegnące za nim stworzenie. Wtedy dopiero spostrzegłem, że to nie piesek, lecz maleńkie sarniątko, którego czeladnik wogóle dotąd nie zauważył. Sarniątko bez żadnego strachu dało się wziąść na ręce. Kazałem pastuchowi chwycić owcę z mlekiem, sądząc, że głodne sarnię będzie ją mogło possać, lecz okazało się, że sarnię owcy ssać nie może z powodu zbyt grubych sutek. Nie mogąc zostawić biednego sarnięcia na pastwę lisów, zabrałem je do domu. Oddałem je pod opiekę młodej dziewczynie, służącej, pouczając ją, jak ma się obchodzić i karmić niemowlę, aby mogło wychować się zdrowo. Dziewczyna bardzo była rada temu nowemu obowiązkowi i tak gorliwie doglądała wychowanka, że sarnik rósł, jak na drożdżach

i nigdy nie chorował. Z początku w nocy spał na jej łóżku, potem, gdy podrósł, sypiał obok łóżka, a gdy wyrósł zupełnie, zamykano go na noc w wozowni. Za swoją opiekunką biegał cały dzień, jak piesek. Gdy nie mógł czasem jej odnaleźć, piszczał żałośnie, biegając i zaglądając do wszystkich kątów, dopóki nie odszukał swej opiekunki. Żarłok był z niego nienasycony. Gdy wyrósł i przestał pić mleko, jadł wszystko, co tylko dopadł, wszystko co służyło za pożywienie dla ludzi, a jemu smakowało. Raz, pod nieobecność służby w kuchni, wpadł tam i sprzątnął całą stolnicę pierożków z mięsem, przygotowanych do gotowania. Innym razem uraczył się talerzem pokrajanej krakowskiej kiełbasy.

W październiku miał już dwa potężne guzy na głowie, a w lutym zupełnie oczyszczone, silnie uperlone poroże szóstaka. To niezbicie dowodzi, że tylko od jakości pokarmu zależy wielkość i uperlenie poroża. Na wolności byłby nasz koziołek dopiero po roku spiczakiem. Wychowany na obfitej i treściwej paszy, już po dziesięciu miesiącach wyglądał jak trzyletni, silnie rozwinięty kozioł. Ciekawa rzecz, czy inni hodowcy zauważyli ten niezwykły, wybujały rozrost poroży oswojonych kozłów. Wątpię, by ten wypadek, który przytaczam, był jakimś niezwykłym wybrykiem natury, a nie wyłącznie wynikiem stosowania obfitego i treściwego pożywienia.

Na noc kozła zamykano do wozowni, w dzień chodził swobodnie. Psów obcych nie dopuszczał na podwórze, uciekały przed nim łazęgi wiejskie i bały się go atakować. Z kotem żył w przyjaźni i zgodzie. Dzieci, ani ludzi dorosłych nie atakował.

Na wiosnę, w dzień świąteczny opiekunka kozła, zamknąwszy swego pupila w wozowni, wyszła z domu do przewozu i przeprawiła się promem po wezbranej rzece na drugą stronę, do sąsiedniej wsi, celem odwiedzenia znajomych. Czy ktoś wypuścił zamkniętego kozła, czy też może sam sobie dał radę, dość, że po jakimś czasie znalazł się na wolności. Biegał i zaglądał do każdego kąta, a gdy poszukiwania jego koło domu spełzły na niczem, wybiegł na drogę i, węsząc, jak pies, pobiegł do przewozu. Prom był na drugiej stronie. Nie namyślając się długo, skoczył w wodę, przepłynął wezbraną rzekę, najmniej czterysta metrów szeroką i we wsi, po drugiej stronie rzeki odszukał swoją opiekunkę. Całą tę scenę widzieli zdumieni przewoźnicy, którzy znali dobrze kozła. W tym wypadku podziwu godnym jest węch, którym się orjentował, szukając swej opiekunki.

W ciepły, kwietniowy poranek siedziałem przy otwartem oknie, zajęty pisaniem. Przed oknem, na ścieżce ogrodowego szpaleru, bawił się mój pięcioletni siostrzeniec pod opieką matki, siedzącej z robótką na werandzie. Wtem zjawił się niespodzianie kozioł, który odrazu zaatakował bawiącego się chłopca. Opuściwszy na dół głowę, skoczył raptem ku dziecku i uderzył go między nogi. Cios był tak silny, że chłopiec wyleciał w górę i, koziołkując w powietrzu, upadł ztyłu za kozłem, za krzak agrestu. Kozioł stanął zdumiony zniknięciem chłopca i oglądał się, szukając go wzrokiem. Na widok, który opisałem, a który nie trwał sekundy, wyskoczyłem przez okno do ogrodu i chwyciłem kozła za rogi. Tymczasem matka, która również widziała cały ten groźny dla dziecka wypadek, z krzykiem pobiegła do syna. Gdyby nie pomoc nadbiegłych robotników, pracujących w ogrodzie, sam nie byłbym w stanie utrzymać rozszalałego kozła... Rogacz skakał w górę, bił mnie dotkliwie przedniemi cewkami w piersi i w żaden sposób nie mogłem mu skręcić głowy. Z wielką biedą, gdy nadbiegli robotnicy, udało się nam powalić i związać zwierzę. Chłopcu nic złego się nie stało, nawet nie miał czasu przestraszyć się i nie płakał, tak ten wypadek nastąpił niespodziewanie i raptownie. Kozła natychmiast kazałem wywieźć do lasu, o sześć kilometrów odległego i puścić go w środku kniei. Przed wieczorem kozioł znalazł się z powrotem w domu. Kazałem zamknąć go na noc w wozowni, a rano odwieźć do lasu. Do leśniczego napisałem, aby zrobił tak, bym kozła więcej nie widział. Nie pisałem wyraźnie, by go zabił, mógł jednak domyślić się łatwo, o co tu chodzi. W parę dni otrzymałem późnym wieczorem list od leśniczego, że kozioł, wypuszczony do lasu, przepłynął rzekę i że na drugiej stronie we wsi złapali go chłopi. Gdy leśniczy się dowiedział o tem, przeprawił się czółnem, odebrał kozła i odsyła go, gdyż boi się, by znów nie powtórzyło się to samo.

Nie było innej rady, tylko kozła przyjąć i rano odesłać do lasu, do sąsiada, o kilkanaście kilometrów, po drugiej stronie rzeki zamieszkałego. Kozła kazałem tym razem umieścić na gumnie, w starym kieracie, aby opiekunka jego nie widziała go więcej i nie rozpaczała nad jego losem. Skoro świt mieli go wywieźć. Gdy rano chciano go umieścić na wozie, okazało się, że z kozła pozostały tylko rogi i cewki. W nocy psy łańcuchowe wskoczyły oknem do środka i zjadły go doszczętnie. Tak tragiczny był koniec biednego koziołka.

Jestem przeciwnikiem bezcelowego chowu dzikich zwierząt i trzymania ich w niewoli, a to co piszę, podaję dla przestrogi tych, co chcą wychowywać złowione sarnięta. Z przykładów tu przytoczonych widać, że oswojone kozły są nieraz bardzo niebezpieczne dla ludzi i mogą spowodować wiele przykrości hodowcom. Jeżeli jednak litość nad osieroconem, lub zabłąkanem sarniątkiem nakazuje zaopiekować się sierotą, to należy pamiętać o tem, by wychowanka, gdy tylko dojdzie do wieku, w którym obejść się może bez mleka, wypuścić do lasu, gdzie przebywają sarny. Uniknie się przez to wielu nieraz nieprzyjemności i kłopotów, a zwierzę uchroni się od tragicznych następstw, jakie go najczęściej spotykają w niewoli.

LEON STARKIEWICZ.

WOLNA TRYBUNA.

W sprawie rezerwatu fauny we wschodnich Karpatach.

Mój pierwszy w tym przedmiocie artykuł w „Łowcu Polskim" (Nr. 4/934, str. 72) wywołał przychylną w zasadzie opinję, podaną przez p. inż. Knothego (Łow. Polski Nr. 6/934, str. 112). Jednak spotkał mnie tam prawie z miejsca zarzut zupełnie niezasłużony, jakobym nie uznawał dotychczasowych poczynań i pierwszorzędnych zasług hodowlanych naszych poszczególnych myśliwych. Zanim więc przejdę do właściwego tematu mego niniejszego artykułu, muszę zakwestjonować ten zarzut prośbą o ponowne przeczytanie odnośnego ustępu na str. 72, II-ga kolumna od góry, od słów „Czyż nasz Związek..." aż do ...„krzywdy nie czyni?"..: — Przecież ten ustęp apeluje jasno i wyłącznie do Związku, aby czynnie wystąpił, a nie do poszczególnych myśliwych, zasłużonych wybitnie osobistemi poczynaniami hodowlanemi na terenie pozakarpackim.

Przechodzę do właściwego przedmiotu t. j. pewnych uzupełnień informacyjnych o ewentualnym terenie rezerwatu, które winienem, nie jako chwilowo tam kiedyś przebywający, lecz latami i z powodu uprawiania aż dwóch zawodów — przed i po wielkiej wojnie.

Jaka jest tego terenu przyroda, świadczy także fakt, że, przedkładając swego czasu Państwowej Radzie Ochrony Przyrody cztery terytorjalne propo-

zycje pod karpacki rezerwat fauny, bezwarunkowo na pierwszem miejscu postawiłem krainę Czeremoszów — choć geograficznie leży ona możliwie najgorzej. Jest to ostro wcinający się język między obce państwa — dzisiejszą Rumunję od wschodu i Czechosłowację od południa i w części od zachodu. Ta fatalna sytuacja sprawia, że, aby myśl stworzenia tam rezerwatu fauny nie była zgóry skazana na niepowodzenie, teren ten musi być przynajmniej neutralizowany, alle lepiej wprost powiększony przez możliwie obszerne wciągnięcie doń otaczających kniei, rumuńskiej i czechosłowackie. Wiemy przecież jak długim jest promień wędrówkowy naszej najpotężniejszej fauny, ale także — kłusowników! Rozumiejąc to, prof. Szafer, szef „P. R. O. P." od tej akcji kroki swe rozpoczął. Tylko w ten sposób dostatecznie terenowo zabezpieczony rezerwat da się odpowiednio administracyjnie i ochronnie ująć, by prosperować.

Dzisiaj o tem opanowaniu mowy niema; świadczą już same opnje: własna p. inż. Knothego i z załączników do Jego artykułu. Skąd jednak faunie łowieckiej nad Czeremoszami większe i bezpośredniejsze grozi niebezpieczeństwo, różnimy się w zdaniach. Nie jestem przyjacielem wilków — wystawiłem im, zdaje mi się, dostatecznie fatalną opinję, sumując ją na końcu swych „Wspomnień myśliwskich — Z Karpat" (przesłanych także przez drukującą je księgarnię wojskową w Warszawie, minionego roku — Szan. Redakcji „Ł. P."). Ale to, co wróg - człowiek złego zdziałać może, przewyższa z pewnością najokrutniejszego zwierza! Rozum, ludzka przebiegłość, praktyka zawodowego kłusownika, znającego każdy najdzikszy ostęp i — wojenne karabiny, to zapewne przeważa wilczą broń i wilcze chody! Apetyt na mięso — prawie równy. Jako długie lata żyjący w ośrodkach najgłębszych Karpat i to żyjący nietylko z wziętego na siebie obowiązku urzędu, ale z zamiłowania do nieprzepartego czaru, jaki ich żyjąca i martwa przyroda na mnie wywiera, zaświadczam zarówno z epoki lat przedwojennych, jak bezpośrednio po ustąpieniu z przedmiotowych terenów armij, rosyjskiej i niemieckiej, że wilki dały się o wiele mniej we znaki faunie Hryniawy i Jawornika, aniżeli w takich kniejach, jak Sołotwina mizuńska (pow. Dolina), lub nawet Jasień (pow. Kałusz). Natomiast hryniawscy kłusownicy rumuńskiego, czechosłowackiego, a także lokalnego pochodzenia w okresie powojennym — przy masie karabinów i amunicji, pozostawionych przez armję niemiecką po głęboko w kniejach krytych, ziemnych magazynach — nie mogli marzyć o lepiej przysposobionym dla nich terenie działania, jak omawiane państwowe i prywatne rewiry karpackie.

Przed wojną te rozległe knieje, ze swemi głębokiemi, bocznemi, leśnemi kotlinami o przepięknych źródłowych wodach — stanowiły każda dla siebie jakby stworzone mateczniki zwierza, a dzierżawcy ich, jak arcyksiąże Leopold Habsburg i jego goście, rozkoszowali się jeleniami o potwornych wprost kształtach — wobec mieszkańców Lasu wiedeńskiego i czeskich. Nigdy jednak pod względem liczebności, jelenie te nie mogły iść w paragon ze stanem jeleni takiego Jasienia, lub Sołotwiny mizuńskiej i ich kniei sąsiednich. Mniemam, że właśnie ogromnym przestrzeniom ich dziedzicznego królestwa i powyższej swobodzie rozwoju o najlepszej, połominnej paszy, swoją wysoką klasę zawdzięczają.

Gdy więc po wojnie przyszły na tę błogosławioną dotąd ziemię takie dwie klęski, jak wszechstronne kłusownictwo i zupełny brak tępienia wilka, jasnem się stało, że skutki, opisane w załącznikach opinji p. inż. Knothego nie długo dały na siebie czekać.

W razie przystępowania do realizacji tego rezerwatu, zgóry musimy sobie powiedzieć, że te dwie klęski — kłusownictwo i wilki — muszą być czemrychlej opanowane. W tym celu musi zaistnieć a priori trzeci warunek — oto cały personal w rezerwacie, a więc tak w polskich, jak obcych lasach państwowych i prywatnych, nim objętych, od kierownika do ostatniego dozorcy, musi być dobrany z ludzi silnych i energicznych, a zamiłowanych w hodowli wysokogórskiej myśliwych.

Naturalnie ten rezerwat byłby pod opieką jakiejś rady nadzorczej, z której ramienia odbywałyby się inspekcje. Jestem zdania, że tych kierowniczych organów rzeczą będzie decyzja, co potrzeba dla utrzymania i rozwoju fauny rezerwatu — a więc i najenergiczniejsze zarządzenia przeciw kłusownictwu i stwierdzonej przewadze wilków.

Skoro, jak świadczy opinja p. inż. Knothego, stan fauny na dotyczących terenach tak dalece spadł od czasu wojny światowej, powtórzyć muszę, że praca zamierzona jest pilna, bo rasy hryniawskich jeleni przedwojennych nanowo nie wskrzesimy, gdy zginą istniejące jeszcze resztki reproduktorów.

Mam w domu popiersie normalnego hryniawskiego czternastaka, o wadze poroży circa dziewięć i pół kg., którego jednak wymiary na światowej wystawie wiedeńskiej w r. 1910-tym sprawiły, że niedopuszczono go do konkurencyjnego budynku z obawy, że drewniana ściana ciężaru nie wytrzyma. O utrzymanie tej rasy jeleni chodzi.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 5 MARCA 1934 roku.

Przewodniczył obradom p. W. Szperling, obecni byli pp.: Wiceprezesi — gen K. Fabrycy i M. hr. Potocki. Członkowie — red. W. Garczyński, B. Gędziorowski, inż. J. Grabowski, inż. H. Knothe, C. Lisowski, J. Skrzypek, K. Świderski, mec. A. Tallen-Wilczewski, J. Żukotyński oraz zaproszeni pp.: prof. J. Gieysztor i dr. St. Zaborowski; sekretarzował J. Bokiewicz.

Porządek obrad był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 12 lutego r. b.
2. Organizacja zjazdu Conseil International de la Chasse.
   a) Ostateczny szczegółowy program zjazdu.
   b) Preliminarz budżetowy.
   c) Sprawy celne.
   d) Sprawy komunikacyjne.
   e) Propaganda prasowa.
   f) Ostateczny program polowań.
3. Sprawy bieżące.

Ostateczny program szczegółowy zjazdu Conseil International de la Chasse przedstawił p. hr. Potocki.

Program pierwszych dwóch dni zjazdu przyjęto bez dyskusji następujący:

18 kwietnia (środa):

wieczorem — posiedzenie Prezydjum (Biura).

19 kwietnia (czwartek):

Godz. 9 — Otwarcie sesji w sali Ministerstwa Rolnictwa.
„ 12 — 13 min. 30 — składanie wizyt.
„ 16 min. 30 — herbatka u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.
„ 20 — przedstawienie galowe w operze.

Postanowiono zwrócić się do p. hr. Branickiego z prośbą o pozwolenie na zwiedzenie pałacu wilanowskiego przez uczestników zjazdu.

Postanowiono zwrócić się do Yacht-Klubu Polskiego z prośbą

o użyczenie lokalu przystani na urządzenie śniadania. Stronę gospodarczą śniadania powierzono p. Gędziorowskiemu.

W dyskusji wyłoniła się nadto kwestja, w jakim lokalu urządzony ma być bankiet. Pp.: hr. Potocki i Gędziorowski, doszli do przekonania, że do wyboru są dwa tylko lokale: Hotel Europejski, lub Resursa Kupiecka.

Głos w tej sprawie zabierali pp. gen. Fabrycy, prof. Gieysztor, inż. Knothe, mec. Wilczewski, przew. Szperling i obydwaj referenci.

Wydział Wykonawczy uznał, że należy zwrócić przy wyborze lokalu uwagę na jego reprezentacyjność oraz na możliwość zebrania towarzyskiego po bankiecie.

Ostateczny wybór lokalu powierzono pp. hr. Potockiemu i Gędziorowskiemu.

Program trzeciego dnia zjazdu ustalono następujący:

20 kwietnia (piątek):
godz. 9 min. 30 — posiedzenie plenarne.
godz. 13 — śniadanie w Yacht-Klubie.
Po śniadaniu zwiedzenie pałacu wilanowskiego
godz. 16 — posiedzenie plenarne
godz. 20 — bankiet.

Czwarty dzień zjazdu obejmuje:

21 kwietnia (sobota):
Rano — czas wolny
godz. 13 — śniadanie w Klubie Myśliwskim.
godz. 15 — zamknięcie sesji.
godz. 17 min. 30 — zwiedzanie Pokazu trofeów łowieckich.
godz. 24 — wyjazd na polowanie.

P. Gędziorowski oświadczył, że w sprawie uproszczenia procedury celnej dla uczestników zjazdu złożył w Ministerstwie Skarbu memorjał. Ostatecznej decyzji w tych sprawach Ministerstwo jeszcze nie powzięło.

P. Przewodniczący Szperling stwierdził, że sprawy celne nie są jeszcze załatwione denifitywnie i zwrócił się do p. Gędziorowskiego z prośbą o starania w kierunku przyśpieszenia ostatecznego ich załatwienia.

W sprawach komunikacyjnych, związanych ze zjazdem, p. prof. Gieysztor poczynił wszelkie możliwe starania o uzyskanie najdalej idących ulg. Sprawy te prof. Gieysztor omówił już konkretnie z pp. hr. Potockim i Gędziorowskim. Koszty przejazdów koleją uwzględnione zostały w preliminarzu budżetowym. Obecnie p. prof. Gieysztor nawiązał kontakt z Międzynarodowem Towarzystwem Wagonów Sypialnych i prawdopodobnie pociąg, wiozący uczestników zjazdu z Warszawy na polowania, zestawiony będzie z wagonów sypialnych i wagonów restauracyjnych.

P. Gędziorowski zakomunikował, iż zorganizowana została w dniu 24 lutego r. b. konferencja przedstawicieli prasy zagranicznej. Podczas przyjęcia w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego wręczono przedstawicielom pism zagranicznych gotowy komunikat, który rozesłano również korespodentom zagranicznym, nieobecnym na konferencji.

Hr. Potocki oświadczył, że ostateczny program polowań nie został jeszcze opracowany.

Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych nadesłała pismo, dotyczące polowania gości na głuszce, zgodnie więc z postanowieniem Wydziału z dnia 12 lutego, włączono do programu polowań tereny Białowieży.

Do Białowieży wyjedzie 10 osób pod opieką p. Żukotyńskiego (w wypadku nieobecności p. inż. Knothego), zaś około 40 osób wyjedzie do Nieświeża, skąd, po przyjęciu u Albrechta ks. Radziwiłła, myśliwi rozwiezieni zostaną na polowania do Dawidgródka i Rzepichowszczyzny.

Niezależnie od tego, Paweł hr. Potocki w rozmowie z M. hr. Potockim wyraził gotowość zaproszenia gości zagranicznych na cietrzewie oraz na kozły, o ile Związek wyjedna zezwolenie na odstrzał kozłów. Byłoby również wskazane uzyskanie odstrzału kilku kozłów w Białowieży.

Wydział Wykonawczy postanowił poczynić starania w kierunku wyjednania zezwolenia na odstrzał kozłów w Białowieży i u Pawła hr. Potockiego.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU KOŃSKIE.

Powiat konecki (województwo kieleckie) obejmuje przestrzeń 184.594 ha. Teren był kiedyś wybitnie lesisty, dzisiaj lasy przetrzebione są układami serwitutowemi, wojną i kryzysem. Grunty — lekkie, piaszczyste, drzewostany — sosnowe. Większe kompleksy lasu obejmują dwa nadleśnictwa państwowe i kilkanaście większych leśnictw prywatnych.

Pod względem łowieckim teren jest ciekawy swoją różnorodnością. Na przestrzeni powiatu spotkać można wszystkie rodzaje zwierzyny łownej środkowej Polski i wszystkie prawie rodzaje polowań. Jest kilkaset jeleni i stan ich stale się poprawia, dziki, niestety, są już rzadkością, jako przechodnie, a w jednem tylko łowisku mają swą ostoję, stan sarn, zajęcy i kuropatw wyraźnie się poprawił, w z r o s ł a t e ż i l o ś ć k r ó l i k ó w, k t ó r y c h d a w n i e j w c a l e n i e b y ł o. Na czterech terenach mnożą się bażanty, hodowane na dziko. Stan kaczek i błotnego ptactwa ma dobre warunki, po zimie 1928 roku ogromnie się poprawił. Są piękne toki cietrzewie i ilość ich wzrosła wyraźnie, trafiają się ciągi słonek, a ze szkodników spotyka się dość jeszcze często piękne jednocześnie trofea myśliwskie, jak lis, jastrząb, gołębiarz, kuna. J a k o r z a d k o ś ć z n a j d u j ą s i ę j e s z c z e j a r z ą b k i. Ogólnie jednak stan zwierzyny jest słaby wskutek rozwielmożnionego sidlarstwa i kłusownictwa, pomimo walki z niemi. Naprawdę racjonalnie prowadzona jest hodowla tylko w kilkunastu prywatnych łowiskach.

W powiecie jest 23 tereny własne i 99 dzierżawionych; poza spółkami myśliwskiemi niema żadnej organizacji i żadne kółko, niestety, nie należy do Polskiego Związku Stow. Łowieckich. Ogromny jeszcze teren włościański leży pod względem łowieckim odłogiem, gdzie bezmyślnie szkody czyni kłusownik, pies, kot, wrona, sroka, jastrząb i t. d. Smutny to stan, świadczący, jak niski jest poziom naszego łowiectwa. Tereny lasów państwowych, ogólnie biorąc, mają fatalny zwierzostan z powodu stałej eksploatacji leśnej, rozrzuconej po całym terenie, wskutek pasenia, zbierania grzybów i jagód oraz braku zainteresowania ze strony gajowych.

Pozwoleń na broń ogólnie wydano 1160, kart łowieckich 226, z tej ilości trzeba właściwie odrącić znaczną ilość, bo około 80 kart łowieckich i około 150 pozwoleń na broń na rejon Skarżysko — Państw. Wytwórnię Broni, która, będąc na krańcu powiatu, korzysta z terenów w innych starostwach. W ilości pozwoleń na broń, oczywista, duży procent jest broni krótkiej.

Jako delegat powiatowy utrzymywałem kontakt ze starostwem i na tem miejscu dziękuję Panu Staroście Franciszkowi Mikrowiczowi za wydatną pomoc, oraz za surowe tępienie policyjno - karne sidlarstwa i wnykarstwa. Spełniając polecenie Wydziału Wykonawczego Związku, wręczyłem, po odpowiedniem przemówieniu, dwa srebrne Medale Zasługi Łowieckiej personelowi z administracji dóbr Ruda Maleniecka, podałem też do odznaczenia kom. posterunku pol. państw. w Końskich, Bronisława Kowalskiego za ofiarną walkę z kłusownictwem. Na apel prof. Domaniewskiego brałem udział w obrączkowaniu ptaków i przesłałem do Państw. Muzeum Zool. w Warszawie kilka obrączek oraz kilka okazów ptaków. Przesłałem też do Redakcji „Łowca Polskiego" oraz do Wydziału Wykonawczego szereg notatek i uwag dla komisji nowelizacyjnej prawa łowieckiego, jak o ochronie dzika, o odstrzale łań, sarn i kur bażancich, o braku apelacji w sprawach sądów rozjemczych o szkody zwierzyny, o zbyt liberalnem prawie apelacji od kar administracyjnych do sądów i t. d., także kilka notatek ornitologicznych, odpowiedziałem też na pytania Państw. Delegata Rady Ochrony Przyrody.

Wobec rozrzuconego i niejednolitego zespołu myśliwych na ogromnym terenie powiatu przy fatalnej figurze (od Przedborza do Szydłowca omal 100 kilometrów), otwarcie przyznaję się,

że nie mam dosyć sił, energji i czasu, aby poruszyć fatalny marazm naszych myśliwych i stworzyć organizację powiatową, któraby, będąc członkiem Polskiego Związku Stow. Łowieckich, utrzymywała kontakt z centralą, z doskonałym naszym organem prasowym „Łowcem Polskim" i któraby zwartą i zorganizowaną masą była krzewicielką ochrony przyrody, kulturalnego łowiectwa i hodowli zwierzyny, i mogła w zwartych szeregach walczyć ze szkodnictwem zwierzyny

BOLESŁAW JAKUBOWSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Końskie.

Z POWIATU SŁONIM.

Na terenie powiatu słonimskiego (woj. nowogródzkiej) istnieją 2 stowarzyszenia myśliwskie: Kółko Łowieckie i Wojskowe Towarzystwo Myśliwskie, obydwa w Słonimie. Działalności swej stowarzyszenia te nie ujawniają poza dzierżawieniem terenów i urządzaniem zbiorowych i grupowych polowań w okresie jesiennym i zimowym. Do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich nie należą, zwierzyny nie dokarmiają, własnej straży łowieckiej nie utrzymują.

Władze administracyjne do spraw łowieckich są usposobione przychylnie i doceniają znaczenie prawidłowej gospodarki łowieckiej z punktu widzenia państwowego. Zezwolenia na broń zostały znaczne ograniczone, a liczba kart łowieckich, która przekraczała 300 sztuk, w r. 1933 spadła do 146. W tej liczbie są karty straży leśnej lasów państwowych i prywatnych, pozatem członków kółek myśliwskich, oraz właścicieli i dzierżawców terenów.

Obwodów łowieckich na terenie powiatu jest 112, jednakże zaledwie 1/20 gruntów włościańskich jest ujęta w obwody, ponieważ włościanie w obawie nałożenia na nich nowych podatków i obowiązków, nie są skłonni do zgłaszania swoich terenów.

W roku 1933 zostało wytoczone około 120 spraw o nielegalne posiadanie broni, kłusownictwo i wnykarstwo, które były niesłychanie rozpowszechnione. W ostatnich jednak latach daje się zauważyć znaczna poprawa dzięki staraniom właścicieli większych terenów w zwalczaniu tej plagi, współpracy policji, oraz stosowanym przez starostwo surowym karom administracyjnym.

Ze względu na bogactwo gatunków zwierzyny pow. słonimskiego przejdę w ocenie zwierzostanu od ptactwa i drobnej zwierzyny do grubego zwierza, zdobiącego nasze lasy.

Głuszce występują w kilku majątkach prywatnych i lasach państwowych, są jednakże dość rozrzucone i większych tokowisk niema. Stan cietrzewi średni. W czasie toków stwierdzono większą ilość kur w stosunku do lat ubiegłych.

Stan kuropatw — trochę lepszy, jednak jeszcze naogół bardzo słaby, ponieważ w czasie ostrych i śnieżnych zim wyginęły, a prawie nigdzie nie są dokarmiane i otoczone opieką.

Jarząbków jest nieco więcej, niż w roku zeszłym.

Stan słonek ogólnie się poprawił. Jest sporo drobnych ciągów.

Stan kszyków zmniejszył się tam, gdzie zostały przeprowadzone meljoracje i łąki zostały osuszone.

Stan kaczek — gorszy, niż w latach poprzednich. Najbardziej ujemnie wpływają na poprawę stanu pastusi, którzy na terenach włościańskich pasą bydło z psami, wybierają jaja i niszczą młode, nielotne sztuki.

Stan zajęcy-szaraków na większych terenach prywatnych i państwowych, w porównaniu z latami ubiegłemi, naogół się poprawił, dzięki zwalczaniu wnykarstwa; pożądanem byłoby, aby właściciele łowisk sprowadzali zające celem odświeżenia krwi i poprawy stanu, niestety jednak zagadnienie hodowlane bardzo niewielu interesują. Najgorzej sprawa się przedstawia w obwodach chłopskich, użytkowanych przez spółki, gdzie od pierwszego do ostatniego dnia polowania w kilku lub w pojedynkę depczą ze strzelbą i przeważnie „na pomyka" tłuką nieszczęsne szaraki.

Stan sarn w powiecie słaby. Bardzo szczęśliwie, że został zniesiony odstrzał sarn, który tu nie miał wcale zastosowania i mógł być wykorzystywany zupełnie nie w celach selekcyjno - hodowlanych.

W moich lasach, gdzie stan sarn był kilka lat temu bardzo dobry i gdzie były otoczone specjalną opieką, od czasu, gdy ukazały się rysie i częściej zaczęły przechodzić wilki, sarny prawie zupełnie wyginęły. Osobiście kilkakrotnie spotkałem ślady odbytej uczty tych drapieżników, których ofiarą padały sarny i zające.

Gruba zwierzyna przeważnie znajduje się w południowej i południowo-zachodniej części powiatu, w lasach prywatnych, graniczących z lasami państwowemi powiatu kosowskiego, dzierżawionemi przez Poleskie Towarzystwo Myśliwskie.

Dziki są w lasach państwowych oraz prywatnych majątków: Albertyn, Synkowicze, Litwa, Dziewiątkowicze, Byten i Hrudopol. Tam, gdzie są karmione, stan ich poprawia się stopniowo i naogół jest dobry.

W lasach majątku Litwa i Dziewiątkowicze trzyma się od kilku lat stale kilkanaście jeleni, które są tu otoczone troskliwą opieką i znajdują odpowiednie ostoje.

Po likwidacji serwitutów w lasach prywatnych zwierzyna znalazła pożądany spokój i nawet łoś upodobał sobie nasze knieje.

Dotychczas łosie przebywały na terenach maj. Hrudopol oraz w granicznych lasach państwowych powiatu kosowskiego. W roku zeszłym, w czasie kontrolowania rozwożenia pokarmu dla dzików, widziałem wchodzące do rewiru 4 łosie, które tu weszły od strony Byteńszczyzny i całą zimę przebyły. (Administracja i straż leśna kilkakrotnie je spotykała).

W sezonie zimowym r. b. tropionych łosi w moich lasach było od 4 do 11 sztuk. Dnia 5 lutego ustaliłem obecność łosi w dwóch oddziałach i podjechałem obydwa stada. W jednem były 4 sztuki: 1 byk dwunastak — typowy badylarz, 1 klempa i 2 młode. W drugiem — 5 sztuk: 1 byk — młody widlak, 2 klempy i 2 młode. Łosie zachowywały się zupełnie spokojnie i pomimo podjechania ich na odległość 30 metrów, pozostawiłem je na miejscu niespłoszone i przyglądające się z zainteresowaniem odjeżdżającym sankom. Prócz wyżej wymienionych 9 sztuk, mój strażnik łowiecki widział w ostępie, kilka dni przedtem, 2 piękne byki-łopatacze.

Wilki ukazują się w lasach na terenie całego powiatu. Były parę razy organizowane przez starostwo nieudane obławy, na skutek skarg miejscowej ludności. W lasach maj. Albertyn i u mnie, gdzie są stale tropione, zamykane były kilkakrotnie w sznury, lecz coraz częściej daje się zauważyć, że ze sznurów wychodzą.

Są to niewątpliwie wilki, które już były strzelane, lub źle „fladrowane" i oswoiły się ze sznurami.

Rysie rozmnożyły się znacznie. Na terenie powiatu trzymają się w lasach prywatnych majątku Hrudopol i Dziewałtowicze, oraz w lesie państwowym, ur. „Miłowidy". W r. 1931 w Dziewałtowiczach miałem tropionych od 4 do 6 sztuk. Odstrzeliłem 2 rysie, samca i samicę, w sezonie 1932-33 jednego rysia, a ostatniej zimy na wyżej wspomnianych terenach i graniczących padły 4 rysie, nie wliczając przyległego terenu nadl. kosowskiego, ur. „Borki", gdzie się stale trzymają rysie, lecz o którym nie mam w tej chwili informacyj. Pomimo stałego odstrzału, na terenie mego lasu i państwowego „Miłowody" stale trzymają się 4 rysie.

Wkońcu muszę nadmienić, że na terenie powiatu, nad rzeką Szczarą, znajdują się bobry, które pozostają pod specjalną opieką.

OLGIERD ŚLIZIEŃ
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Słonim

Niespodziewanie duży napływ nowych prenumeratorów „Łowca Polskiego" spowodował wyczerpanie pierwszych pięciu numerów z bieżącego roku.

Zwracamy się przeto z uprzejmą prośbą do PP. Prenumeratorów, którzy nie kompletują roczników,— o łaskawe przesłanie nam tych numerów „Łowca Polskiego" na koszt redakcji, zwłaszcza Nr. 4 i 5.

ADMINISTRACJA.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

Z OFICERSKIEGO KLUBU ŁOWIECKIEGO GARNIZONU GRODNO.

Założony w 1922 r. Oficerski Klub Łowiecki garnizonu Grodno na walnem zebraniu w dniu 10 marca b. r. zreasumował wyniki swej pracy. Kilka cyfr daje obraz postępów, osiągniętych w ciągu ostatnich lat.

Tereny Klubu obejmują obszar 58.105 ha, w tem lasów i zagajników 22.250 ha, pól 18.505 ha, łąk 17.350 ha, i tworzą zwarte bloki. Umożliwia to racjonalną gospodarkę łowiecką na dalszą metę.

Przy przeciętnej ilości 30 członków, przypada na każdego członka około 2000 ha. Tak znaczny obszar pozwala na oszczędzanie terenów słabszych, które, mając zapewnioną ochronę, są opolowywane co drugi, a nawet co trzeci rok. Na terenach bogatszych w zwierzynę zbiorowe polowania odbywają się tylko raz na rok.

Dla ochrony terenów i walki z kłusownictwem Klub utrzymuje 15 strażników łowieckich (większość zaprzysiężona w starostwie), posiadających przepisowe odznaki i legitymacje.

Walka z kłusownictwem i wnykarstwem, przy wydatnej pomocy w ramach ustawowych ze strony starostw grodzieńskiego, augustowskiego i sokolskiego, daje widoczne rezultaty.

Straż łowiecka ujęła w ciągu ostanich 4-ch lat znaczną ilość kłusowników, z których 97 zostało ukaranych bądź w drodze administracyjnej, bądź też w drodze sądowej.

Kilkoletnia, planowa praca Klubu dała znaczną poprawę zwierzostanu. Cyfrowy obraz daje zestawienie ubitej zwierzyny w ostatnich 6-ciu latach, zamieszczone a str. 199.

W roku sprawozdawczym 1933/34 Klub zorganizował 21 polowań zbiorowych, w tem: 4 polowania na wilki, 2 polowania na dziki, 2 polowania na lisy, 13 polowań na zające.

Prace Klubu nad hodowlą zwierzyny na wszystkich terenach polegają na dokarmianiu zwierzyny w okresie dużych śniegów. Ponadto przeprowadzono tytułem próby hodowlę zajęcy i bażantów.

Założona w r. 1931 zajęczarnia pomimo znacznych kosztów (ogrodzenie 4 ha) nie dała pożądanych rezultatów. Epidemja płucna zniszczyła około 100 szt. wyhodowanych zajęcy. Zmusiło to Klub do zaniechania tego rodzaju hodowli do czasu uzyskania pewności, że teren zajęczarni jest wolny od zarazków.

Próby hodowli bażantów dały dobre rezultaty. Na podstawie przeprowadzonych doświadczeń Klub przystępuje w roku bież. do założenia bażantarni na terenach, posiadających wszelkie warunki do hodowli bażantów na dziko w bezpośredniej bliskości Grodna.

W planie pracy na rok 1934 Klub przewiduje szereg odczytów i pogadanek łowieckich dla członków oraz szereg imprez towarzyskich.

Z POINTER KLUBU W POLSCE.

Pointer Klub w Polsce zawiadamia osoby zainteresowane, iż zapisy do ogłoszonych prób polowych, wyznaczonych na 22 kwietnia b. r. w Wilanowie, przyjmowane będą codziennie w Sekretarjacie Klubu (Nowy Świat 35) od 17 — 19 wiecz. do dnia 14 b. m. włącznie.

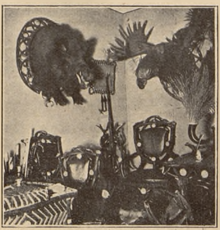
SKARBY PRZYRODNICZO-MYŚLIWSKIE.

Zaiste, bywają rzeczy zdumiewające na świecie — lecz to, co dane mi było widzieć w dniu szóstego marca r. b. — przechodzi wszelką imaginację.

Chcę opowiedzieć kilka słów o wspaniałych zbiorach trofeów myśliwskich p. Stefana Greulicha, noszących charakter iście muzealny, a zgromadzonych w liczbie około półtora tysiąca okazów w prywatnem mieszkaniu ich właściciela w Warszawie, przy ul. Nowy Świat 47.

Zbiory te stanowią niewątpliwie unikat pod względem zużytego na nie czasu, wytrwałości i całego wogóle zakroju.

Okazuje się, że od lat czterdziestu zbierane są ze świata całego najrzadsze okazy wieńców, łopat, poroży, szabel, szkieletów, oraz nieprzeliczona ilość wypchanych zwierząt i ptaków. Egzotyka panuje tu narówni z krajowemi egzemplarzami.



Ze zbiorów p. S. Greulicha.

Oprócz tego, przykuwa uwagę arcy-misternej roboty garnitur meblowy, a mianowicie: szafa, biurko, fotele, rodzaj oprawy do zegara gdańskiego — na wykonanie których użyto wyłącznie li tylko skórę, kości, szerść i szczecinę zwierząt łownych.

Właściciel pracował osobiście około dziesięciu lat nad swem arcydziełem o skali pracy iście benedyktyńskiej.

Są to niezawodnie dzieła sztuki.

Ale nie w tem rzecz.

Mamy i to niemało amatorów, lubujących się w artystycznem wykonywaniu najrozmaitszych wyrobów.

Lecz kogoś, ktoby w przeciągu niemalże pół wieku, w cichości, nie dla reklamy i zysku, ale miłując przyrodę duszą całą, poświęcał swoją fortunę, czas, zabiegi i kłopoty bez liku w celu stworzenia kolekcji o mrówczo-gigantycznem rozpięciu, tego przyznam się jeszcze nie widziałem i zapewne już nie zobaczę.

Zasługą to jest niezmierną wobec własnego społeczeństwa, a szczególnie jego myśliwsko-przyrodniczej frakcji i nigdy zanadto podkreślić jej nie można.

Właściciel tego wspaniałego zbioru chociaż nie ubił w swojem życiu więcej, niż kilka zajęcy, jest potencjalną duszą myśliwską i to poważnego kalibru, w całkowitem tego określenia znaczeniu.



Ze zbiorów p. S. Greulicha.

Kiedy z zachwytem przypatrywałem się przepysznym okazom łopat łosi krajowych i kanadyjskich, kolosalnej kolekcji poroży rogaczy europejskich oraz azjatyckich „pygargusów", wspaniałemu asortymentowi wieńców naszych królów gór, jeleni, — ptaków łownych mocy wielkiej, od głuszców poczynając, aż do skromnych gili i innych wróbelków, obok groźnej głowy indyjskiego bawołu, byka piżmowego, rogów tura, potężnego karku starego żubra, nosorożca okrutnego rogu, — ileż to myśli przebiegło przez poruszony tem wszystkiem umysł!

Zaiste, nie zabraknie nam materjału pokazowego, szczególnie wobec mającego się odbyć u nas zjazdu „Conseil International de la Chasse" i organizowanej z tej okazji wystawy łowieckiej. Będziemy mieli czem pochwalić się i zademonstrować naszym miłym gościom. Dobitnie im dowieść, że istotnie: „Polska — raj dla myśliwych" i to nietylko w formie gołosłownych, naiwnych plakatów, paradujących po zakamarkach stacyjnych, obok zbawiennej maksymy: „cukier krzepi".

Zbiory p. St. Greulicha to rzeczywiście niewyczerpana kopalnia wyjątkowych, pokazowych objektów.

Ale rozjadą się drodzy goście, zakończy swój żywot wystawa, unikaty powrócą do swych pieleszy na Nowym Świecie i, właściwie mówiąc, realnie pozytywnego pozostanie bardzo niewiele.

A wielka szkoda!

Bo zgromadzenie w takiej ilości i tak wybitnych okazów egzotycznych i krajowych zwierząt i ptactwa powinno być zafiskowanem na stałe ku pokrzepieniu serc przyrodników i myśliwych.

Argument, że posiadamy już bogate muzeum zoologiczne, bynajmniej nie anuluje palącej potrzeby stworzenia specjalnego zakładu o celach specyficznie przyrodniczo-łowieckich.

Zbiory p. Greulicha stać się mogą jądrem, pierwszą podwaliną tak potrzebnej instytucji, któraby mogłaby posłużyć za kamień węgielny budownictwa tego rodzaju, lecz już nie z ramienia prywatnej inicjatywy.

Bo winniśmy pamiętać, że Golkonda skarbów tej skali musi się stać własnością narodu całego. Inaczej któż przewidzieć może losy, z takim pietyzmem zbieranych trofeów łowieckich?

Tyle czasu już narastają owe bogactwa, a czyż szeroki ogół słyszał o nich cośkolwiek? Chociażby nasz świat łowiecki. Dla nas, małej grupki zwiedzających, stanowiło to prawdziwą rewelację. Więc „krzyczeć", a nie mówić, o tem należy!

A rozkwit takiej instytucji wydaje się być rzeczą pewną. Już i w obecnem stadjum niemało weszło do niej planów naukowo-łowieckich z wypraw ś. p. nieodżałowanego prof. J. Sztolcmana.

Niezawodnie też coraz to więcej przybywać będzie nowych cegiełek, zdobytych przez nowe zastępy venatorów.

Poczuwam się do moralnego i łowieckiego obowiązku zwrócić uwagę moich najmilszych komilitonów z pod zielonego sztandaru, jakoteż wszystkich miłośników piękna, zawartego w całokształcie wszechstworza, na oglądane zbiory p. Greulicha.

Naprawdę niepodobna przejść do porządku dziennego nad całym ogromem włożonej tam pracy i zamiłowania do byłych i teraźniejszych przedstawicieli naszej i cudzoziemskiej fauny.

Oby się podobni twórcy takich wyczynów na kamieniu u nas rodzili.

ADAM RZEWUSKI.

PRZYKŁAD GODNY NAŚLADOWANIA.

Z dniem 1 marca 1934 r. upłynął termin dzierżawy prawa polowania na bardzo wielu obwodach łowieckich wspólnych, które to tereny zarządy spółek łowieckich mają wydzierżawić na dalszy sześcioletni okres.

Doświadczenie, nabyte z przed lat sześciu, pouczyło, że zarządy spółek łowieckich, z bardzo małemi wyjątkami, powodowały się przy wydzierżawianiu prawa polowania nie interesami łowiectwa, lecz raczej szły na rękę prawdziwym niszczycielom zwierzostanów. Zachodzi zatem słuszna obawa, że proceder ten, dla łowiectwa bardzo szkodliwy, mógłby się powtórzyć.

Aby temu zapobiedz, starosta powiatowy Rawa Ruska, pan Stanisław Hawrot, w dobrze zrozumianym interesie tak właścicieli gruntów, jakoteż i łowiectwa przesłał zarządom spółek łowieckich wzór umowy dzierżawnej o polowanie z poleceniem bezwarunkowego użycia tego wzoru przy zawieraniu umów dzierżawnych.

Między innemi znajduje się tam warunek, że dzierżawca obowiązuje się na wydzierżawionym obwodzie łowieckim prowadzić racjonalną gospodarkę łowiecką, to jest: 1) chronić zwierzynę skutecznie przed kłusownikami i drapieżnikami; 2) w razie potrzeby dokarmiać zwierzynę; 3) ustosunkować odstrzał zwierzyny do jej stanu; 4) starać się o podniesienie zwierzostanów. Dalej zobowiązuje się dzierżawca poddać swoją gospodarkę łowiecką kontroli ustanowionego do tej czynności myśliwego i stosować się bezwarunkowo do jego wskazówek, gdyż w przeciwnym razie nastąpi bezzwłoczne rozwiązanie umowy dzierżawnej, połączone z utratą kaucji dzierżawnej i bezapelacyjnem odebraniem wydzierżawionego terenu łowieckiego przez zarząd spółki łowieckiej. Nieprzyjmującemu tych warunków nie może zarząd spółki łowieckiej wydzierżawić obwodu łowieckiego.

Za tak korzystne dla łowiectwa zarządzenie — wystosowane rozporządzeniem z dnia 23 lutego 1934 L. A. R. 1/10/34 do zarządów spółek łowieckich tutejszego powiatu — czuje ogół myśliwych, dbających o rozwój prawidłowej gospodarki łowieckiej, dla Pana Starosty Hawrota, prawdziwą wdzięczność.

Oby to zarządzenie znalazło licznych naśladowców pośród innych starostów!

Przytem nadmieniam, że cały powiat podzielony został na ośm części, gdzie wyznaczeni myśliwi o wypróbowanej już wartości, jako gospodarze łowieccy, spełniać będą kontrolę nad łowieckiemi gospodarstwami na wydzierżawionych terenach i opinjować podania o uzyskanie kart łowieckich.

Obecnie więc będzie rzeczą tych myśliwych, wyznaczonych do kontroli gospodarstw łowieckich, spełniać sumiennie i gorliwie swój obowiązek, a jest wszelka nadzieja, że rozumne i celowe zarządzenia starosty rawskiego wydadzą niewątpliwie zdrowe owoce.

KAZIMIERZ WYSOCKI.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—) Rządca maj. Turna (pow. węgrowski) spotkał na terenie dworskim trzech obcych ludzi; podjechawszy bliżej, stwierdził, że odbywało się tam polowanie, w którem udział brali dwaj kłusownicy, a za naganiacza służył im trzeci.

Pomimo przewagi liczebnej, rządca Bronisław Szafruga odebrał kłusownikom broń.

Dochodzenie policyjne ustaliło nazwiska wszystkich trzech kłusowników; są to: Henryk Turowski, Tomasz Rostek i Feliks Wojtyrowski, mieszkańcy wsi Starawieś.

Sąd grodzki w Węgrowie skazał Turowskiego i Rostka na karę 3 miesięcy bezwzględnego więzienia, Wojtyrowskiego zaś na 3 miesiące z zawieszeniem. Skazani jednak wnieśli apelację do sądu okręgowego w Siedlcach.

Nadmienić trzeba, że starostwo węgrowskie wymierzyło wszystkim trzem karę administracyjną po miesiącu aresztu i od tej kary kłusownicy złożyli odwołanie do sądu.

*

(—jb.—). Mieszkaniec wsi Malanów (powiat sieradzki), Władysław Frasunkiewicz, przed dwoma tygodniami, w czasie śledztwa wskazał władzom sąsiada swego, Jana Kobickiego, jako sprawcę zabicia sarny w okolicznych lasach.

Po kilku dniach, na powracającego wieczorem do domu Frasunkiewicza napadło trzech osobników, którzy pobili go kijami do utraty przytomności. Rannego znaleźli sąsiedzi i przywieźli do szpitala powiatowego w Sieradzu, gdzie stwierdzono wstrząs mózgu i złamanie podstawy czaszki. Stan pobitego jest bardzo ciężki.

Dochodzenie policyjne ujawniło, iż napadu dokonał pałający do Frasunkiewicza żądzą zemsty Kobicki wraz z dwoma towarzyszami.

Aresztowany, Kobicki do winy się przyznał, uporczywie jednak twierdzi, że napadu dokonał sam, bez niczyjej pomocy.

Za wspólnikami zbrodniczego napadu poszukiwania trwają nadal.

*

(—jb.—). W nadleśnictwie państwowem Gidle, gajowy Antoni Wąsowicz spotkał w pobliżu wsi Rozpęd trzech kłusowników, z których jeden miał strzelbę. Gajowy zażądał złożenia broni, zatrzymani jednak rzucili się na niego, dotkliwie pobili i, odebrawszy mu broń i czapkę, zbiegli.

Śledztwo wykazało, że jednym z wojowniczych kłusowników jest Antoni Zieliński, mieszkaniec pobliskiej wsi Borów. Zielińskiego aresztowano, dalsze śledztwo w toku.

(—jb.—). W pierwszych dniach stycznia r. b. gajowi lasów miejskich w Ciężkowicach (woj. krakowskie), Jakób Pierzchała i Józef Kieronim natknęli się na pięciu kłusowników, zajętych połowem ryb w leśnym stawie. Zaskoczeni, rzucili się do ucieczki, strzelając do ścigających ich gajowych z rewolwerów.

Jednego tylko z kłusowników rybnych gajowy Kieronim zatrzymał; okazał się nim Władysław Pomierny. Odebrano mu rewolwer i oddano do dyspozycji władz śledczych, które ustaliły nazwiska wspólników kłusowniczego połowu: Stefan Sośniak, Tadeusz Poczesny, Bolesław Zajdzik i Franciszek Łaskawiec.

Wszystkich kłusowników oddano sądowi okręgowemu w Krakowie, który przed tygodniem skazał wymienionych pięciu kłusowników na karę po 6 miesięcy więzienia oraz na utratę praw obywatelskich na przeciąg lat trzech.

*

(—jb.—). Do gospodarza wsi Sieraków (powiat częstochowski), Antoniego Mękarskiego, przyszedł w odwiedziny gajowy lasów państwowych, Roman Tomalski.

W pewnej chwili, z za okna padł strzał z dubeltówki, gajowy Tomalski padł śmiertelnie ranny i wkrótce zmarł.

Sprawca nie został wykryty.

Ś. p. gajowy Tomalski cieszył się wybitnie dodatnią opinją wśród przełożonych i sympatją wśród kolegów.

Ś. p. Tomalski był zaciętym wrogiem kłusowników i złodziejów leśnych, którzy nie uszli mu nigdy, czy w dzień, czy w nocy.

Jest rzeczą pewną, że strzał skrytobójczy padł z ręki kłusownika, powodowanego chęcią zemsty.

Energiczne śledztwo niewątpliwie rychło doprowadzi do ujawnienia i ukarania kłusownika-mordercy.

*

(—jb.—). Gospodarze wiejscy z Hołdunowa (powiat pszczyński), Mikuś, Nocoń, Wilczek i Kandziora schwytani byli, jak o tem pisaliśmy poprzednio, na kłusownictwie.

Dowiadujemy się obecnie, że sąd grodzki w Mikołowie, w pierwszych dniach ubiegłego miesiąca, wymierzył wszystkim kłusownikom karę po 1 tygodniu aresztu i wykonanie tej kary zawiesił na przeciąg dwóch lat.

Niski wymiar kar bynajmniej nie odstrasza przestępców od wykonywania niecnego procederu, a już zawieszenie tak łagodnej kary — może ich tylko rozzuchwalić.

*

(—jb.—). W Uzaszewie pod Poznaniem gajowy postrzelił w lesie uciekającego kłusownika, Wawrzyńca Sieberta.

Przeprowadzona w mieszkaniu Sieberta rewizja ujawniła obciążające materjały. Dochodzenie w toku.

*

(—jb.—). 60-letni gajowy lasów państwowych Józef Ostrowski przybył do zagrody gospodarzy Bobkowskiego i Służyńskiego we wsi Strękowizna (powiat Augustów), aby stwierdzić, czy znajduje się tam skradzione przez wymienionych gospodarzy, znanych w okolicy z kradzieży leśnych i kłusownictwa, drzewo.

Obaj właściciele pobili gajowego Ostrowskiego, odebrali mu broń, porwali na nim ubranie, poczem wyrzucili go za bramę, porzucając rewolwer.

Zarządzone śledztwo doprowadzi niewątpliwie do należytego ukarania obydwu sprawców pobicia gajowego na służbie, który nie mógł, wobec podeszłego wieku, stawić im oporu, a pomimo konieczności obrony własnej — nie wyjął broni.

DOBRE I ZŁE.

Jako dzisiejszy temat do tej rubryki posłużyła mi, wbrew pierwotnej zapowiedzi czerpania go wyłącznie z czasopism fachowych łowieckich i leśnych, krótka wzmianka, zamieszczona w dniu 16 marca b. r. w „Kurjerze Warszawskim", w rubryce „Ze świata" p. t. „Kara za polowanie z samochodu".

W notatce tej czytamy, że w Afryce wschodniej, na terytorjum Kenji, sąd w Nairobi skazał księcia Jusufa Kemala, krewnego króla Egiptu, na zapłacanie 100 funtów szterlingów grzywny za strzelanie do zwierzyny z samochodu na wyprawie myśliwskiej, podczas której ubito 28 sztuk zwierząt, a w tej liczbie kilkanaście antylop. Towarzyszący ks. Kemalowi dwaj książęta austrjaccy skazani zostali równocześnie na grzywnę 50 funt. szterl. każdy.

Jakkolwiek myśliwi ci tłomaczyli się nieznajomością zakazu polowania z samochodu, to jednak sąd nie uwzględnił tego wykrętu, a występujący w roli oskarżyciela przedstawiciel departamentu myślistwa terytorjum Kenji nazwał taki rodzaj polowania „prostytucją sportu".

Fakt powyższy i okoliczności mu towarzyszące, a także zdecydowane i surowe stanowisko, jakie z punktu widzenia etyki myśliwskiej zajął urzędowy przedstawiciel łowiectwa, nasuwają bardzo wiele refleksyj na temat poziomu kulturalnego i zachowania się naszych myśliwych w Polsce.

Niestety, wśród bardzo szerokich kół u nas uprawianą jest jawnie i bezkarnie w całym szeregu kierunków „prostytucja sportu", jak chce ją nazywać szlachetny myśliwy „dzikiej" Afryki. Do czynów, które przedewszystkiem z całą bezwzględnością należy kwalifikować i traktować właściwem imieniem należą następujące, niezgodne z elementorną etyką „choroby psychiczne" polujących u nas „sportsmanów": strzelanie do zwierzyny na każdy dystans — zwłaszcza do ptactwa i zajęcy z naganki; niedobijanie męczących się postrzałków z gotowej nanowo do strzału broni, lecz zastępowanie jej przez barbarzyńskie sposoby „ręczne", lub oczekiwanie aż raniona zwierzyna sama „dojdzie", skoro już ujść nie może; strzelanie w kupę zrywających się ptaków, bez ustalania żadnego właściwego celu; strzelanie do kuropatw na śniegu i do siedzących, lub cieknących po ziemi; nieużywanie wyżłów lub innych aporterów na polowaniach błotnych, zwłaszcza na sadach i przelotach kaczych, wskutek czego przepada większość strzelonych w powietrzu sztuk, które po upadku uchodzą jako postrzałki w trawy i gąszcza roślin wodnych. Niestety, zdarzają się również polowania na zające nocą, na szosach, samochodem, czynią to jednak nie byczy, ku smutnej chwale ilościowego rekordu.



Ze zbiorów p. S. Greulicha.

Wszystkie te barbarzyńskie przejawy w uprawianiu myślistwa winny być przez współobecnych uczestników polowań jak najsurowiej karcone i prześladowane — inaczej nigdy nie przestaniemy wstydzić się za lekkomyślnych i etycznie niedość rozbudzonych kolegów myśliwych. A przedewszystkiem należy z umysłu myśliwego wypalić raz na zawsze chęć zdobywania rekordów w strzelaniu do żywej zwierzyny, co powoduje najwięcej zimnego okrucieństwa. W walce współzawodniczej o osiąganie rekordów na zbiorowych polowaniach, myśliwi tacy zaślepiają się do tego stopnia, że nie starcza im czasu na inne myśli, niż wykorzystanie największej ilości celów w najkrótszym czasie. Postrzałek, nieuchodzący z miejsca, na którem legł, nie zwraca najmniejszej nawet uwagi, gdyż następne naboje w lufach trzeba natychmiast użytkować do nowych zdobyczy, ku smutnej chwale ilościowego rekordu.

Jeżeli nieodzownem jest, aby były stosowane kary za przestępstwa łowieckie, godzące w panujące prawa własności, ochronne, lub inne, to niemniej koniecznem jest stosowanie kar za nieprzestrzeganie etyki myśliwskiej i to jak najdotkliwszych.

Dotychczas regulaminy towarzystw i kół myśliwskich uchwalały kary jedynie za takie czyny, jak strzał do zwierzyny, objętej w danej chwili ochroną, za nieostrożne używanie broni lub

nieodpowiednie zachowanie się na stanowisku. Czas, aby najlepsi myśliwi, dokoła których grupują się inni, stanowiący element bierny, organizatorzy i „przywódcy" grup polujących zdali sobie jasno sprawę z tego, ile zła płynie ze zbyt lekceważąco traktowanych subtelności etyki myśliwskiej i zwyczaje w tym kierunku zmienili, rozszerzając zakres doraźnej odpowiedzialności na polowaniach zbiorowych.

WUZET

DO PP. MIŁOŚNIKÓW WYŻŁÓW RAS NIEMIECKICH.

Tymczasowy Zarząd Klubu Hodowli Wyżła Ras Niemieckich w Polsce zwraca się do wszystkich pp. posiadaczy rasowych reproduktorów, jak również suk-matek, lub całkowitych gniazd hodowlanych, oraz do wszystkich zwolenników ras niemieckich, aby zechcieli jak najszybciej, we własnym interesie i w interesie sprawy ogólnej, zapisywać się na członków.

Korespondencję należy kierować p. a Klubu, Warszawa, Nowy Świat 35, na ręce prezesa Klubu p. J. Dylewskiego.

TYMCZASOWY ZARZĄD KLUBU.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 27 i 28 grudnia r. ub. odbyło się w lasach maj. Hołubie (pow. hrubieszowski), u p. Eustachego Świeżawskiego, polowanie w 9 strzelb. Padło: 3 dziki, 2 lisy, 308 zajęcy, 4 bażanty, 2 kruki i 2 sowy; najwięcej na rozkładzie miał p. Jan hr. Plater-Zyberk — 2 dziki, lisa, 53 zające, 2 bażanty i kruka.

W maj. Hołubie, na obszarze ok. 3.000 ha terenów własnych i dzierżawionych, ubito ogółem w 1933 r.: 8 dzików, 2 rogacze (odstrzał ograniczony z powodu złego stosunku płci), 310 zajęcy, 28 sztuk ptactwa łownego (kuropatw i kaczek znikomą ilość z powodu choroby właściciela); 7 lisów, 1 borsuka, 8 łasic, 69 psów, 102 koty, 38 jastrzębi i 132 wron i srok.

— W minionym sezonie na polowaniach z ogarami, w majątku Kondraciszki (pow. lidzki, woj. nowogródzkie) zabito lisów 2, zajęcy szaraków 24; razem zwierzyny sztuk 26.

Wielką przeszkodą w tego rodzaju polowaniach z psami, były w tym roku wilki, których stan znacznie się zwiększył w porównaniu do lat poprzednich. Psy, czując w pobliżu swoich zaciętych wrogów, zwykle raptem przerywały gon i albo uciekały z lasu wprost do domu, albo szukały opieki u myśliwych. Po takiem przejściu były już nastraszone, słabo szukały i goniły, bojąc się odchodzić dalej od ludzi i z tego powodu dzień do polowania, często bardzo dobry, był zmarnowany.

Najwięcej na ogólnym rozkładzie miał p. H. Buszyński (sztuk 15, w tem 1 lisa i 14 zajęcy).

— Obszar ogólny łowisk Czarny Las wynosił w 1933 r. 2.700 ha. Polowania zbiorowe odbyły się: jedno we wrześniu, dwa w październiku, jedno w grudniu.

Zwierzyny łownej padło 1.557 szt.
Drapieżników zabito i złowiono 172 „
Strzałowego wypłacono: 811,80 zł.

Wypadków kłusownictwa było 3, w każdym z nich, sprawców ukarano sądownie.

Tereny Czarny Las, 1933 r.

GATUNEK																
Zające	Króliki	Cietrzewie	Gołębie	Bażanty	Kuropatwy	Przepiórki	Słonki	Lisy	Borsuki	Tchórze	Łasice	Psy	Koty	Jastrzębie	Sroki	Wrony
261	40	7	61	113	1066	8	1	5	1	2	26	21	38	22	5	52

razem 1.557 szt. razem 172 szt.

Ogółem 1.729. szt.

Wyniki polowań oficerskiego klubu łowieckiego garn. Grodno.

L. p.	Rodzaj zwierzyny	1928 r.	1929 r.	1930 r.	1931 r.	1932 r.	1933 r.	Uwagi
1.	Wilk	—	—	—	1	1	7	W r. ub. więk. nac. polot na tęp. wil
2.	Dzik	—	—	—	1	—	1	Walka z kłusow.
3.	Lis	1	1	5	10	2	7	w r. 30 uj. 14 w r. 31 uj. 31
4.	Zając	103	105	325	425	580	981	w r. 32 uj. 20 w r. 33 uj. 12
5.	Głuszec	—	—	—	6	6	11	
6.	Cietrzew	—	2	10	3	74	68	9-cio krotny wzr. stanu zajęcy i b.
7.	Słonki	—	—	42	47	67	54	znaczne zwiększenie stanu kurop. są
8.	Kaczki	112	67	96	266	505	533	wynikiem planow. pracy Klubu
9.	Kuropatwy	24	49	134	129	215	564	
10.	Jarząbki	—	—	—	1	3	19	

Niniejszym zwracamy się do Panów Autorów: Karola Galusa i J. Żarnowskiego, których artykuły zamieszczone były w Nr. 1 „Łowca Polskiego" b. r., aby zechcieli nadesłać nam swoje adresy.

Redakcja

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 29. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98 KONTO P. K. O. Nr. 8082.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

POLECAMY NIEZAWODNE W UŻYCIU
BROWNINGI ORYGINALNE **F.N. KAL.** 6.35 7.65 i 9 m/m



do nabycia

w WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17.
lub w oddziałach

w POZNANIU	**LWOWIE**	**i WILNIE**
Gwarna 12,	**pl. Marjacki 4,**	**Wileńska 10**

oraz w lepszych składach broni.

Strzec się bezwartościowych naśladownictw!

Cenniki bezpłatnie na żądanie.



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie

Ossolińskich 1, tel. 647-47

Poleca strzelby:
G. Delourny-Sevrin a Liege
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki
G. Delourny-Sevrin a Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne. Katalogi ilustrowane bezpłatnie.

SKŁAD BRONI I AMUNICJI „ŁOWIEC".

WARSZAWA, UL. WIDOK 22, TELEFON 504-93

Zaopatrzony w towar najlepszych marek
Na składzie okazyjna broń mało używana.
Warsztaty reperacyjne wykonywują szybko wszelkie naprawy
Ceny wyjątkowo niskie.
Fachowa obsługa. Terminowa dostawa
Szanownej Klijenteli poleca się

WILHELM ZIEGENHIRTE

B. współwłaściciel f-my „H. Straburzyński i S-ka", długoletni współprac. f. „H. Sawicki i St. Czerski" i „Robert Ziegler".

„**Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie ma do wydzierżawienia następujące obwody rybackie:**

1) Nadleśnictwo Państwowe Bolechów — rewir Nr. 11 Świcy o pow. 24 ha czynsz według umowy — Rzeka górska, pstrąg lipień.

2) Polanica — rewir Nr. 10 Świcy o pow. 132. 93 ha. czynsz według umowy. — Rzeka górska, pstrąg lipień.

Oferty i zapytania należy kierować do Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie, ul. Chorążczyzny 17, tel. 2-55".

Dyrekcja Lasów Państwowych.
W zastępstwie
(—) Inż. J. Markiewicz.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 639-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

„**Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie sprzedaje odstrzał głuszców - kogutów na terenach wysokogórskich w cenie 40—75 zł. od jednej sztuki.**

Bliższych informacyj odnośnie rewirów, zakwaterowania i dojazdu udziela Dyrekcja telefonicznie Nr. 2-55 względnie listownie".

Taniej! Wcześniej! W domu!

NAJTAŃSZYM W PRENUMERACIE

wielkim dziennikiem stołecznym jest

EXPRESS PORANNY

Codziennie 8—10—12 wielkich stronic stanowiących żywy wszechstronny obraz wszystkiego, co dzieje się w stolicy, w kraju i zagranicą. **Liczne jedno i wielobarwne ilustr.** Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu lub przesyłką pocztową

tylko 3 zł. 60 gr.

12 groszy dziennie zamiast 20-tu

Prenumeratę zamawiać można odkażdego dnia w m-cu

Adresy kantorów „Expresu Porannego" Warszawa, Jasna 10 lub Marszałkowska 3 telefon: 693-72 i 8-02-40.

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażanty czystej krwi Mongoły, Torquatusy-Złote, Diamentowe, **kuropatwy,** króliki i kaczki dzikie, jajka bażancie, nasiona i sa zonki roślin pastewnych i drzew leśnych poleca Zarząd Lasów XX Czartoryskich Nadleśnictwo Babki poczta Krzesiny powiat Poznań. Bezpłatne cenniki!

Krekuchy kaczki ma na sprzedaż maj. Jachimowszczyzna W. Świętorzeckiego. Cena za sztukę: kaczka 15 zł., kaczor 10 zł. Adres: poczta Połoczany.

Odstrzał głuszców i cietrzewi na tokach połączony z całodziennym polowaniem na kaczory w majątku prywatnym na Polesiu. Informacji udzieli W. Zajączkowski Krajewskiego 101 Mińsk.

Ważne dla hodowców drobnej zwierzyny! „Kamata" przynęta na koty, tchórze kuny, łasice — 1/4 kg. porcja służy do schwytania w łapki 20-30 sztuk. Opis użycia dołączony do słoika. Cena zł. 8. —. Modele pułapek, najodpowiedniejszych do zastosowania przy zakładaniu „Kamaty" w 1/4 wielkości normalnej, w cenie zł. 7.50. Do nabycia w Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich: Nowy Świat 35.

Zwierzynę bitą oraz perlice kupujemy stale. Dom Urbanowski Sp. z o. p. Eksport Produktów Żywnościowych Bydgoszcz, ul. Kwiatowa 9, Tel. 1426.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.